AS



Nr. 17 23 KWIETNIA 1939 R. CENA 40 GROSZY ◆ PARYŻANKA Fot. Santho

PÊLE ✦ MÊLE

Różne już pomniki stawiano w świecie, ale dopiero Stany Zjednoczone zorjentowały się, że niema jeszcze nigdzie pomnika mody! — Stan Kalifornja zaradził temu i już wzniesiono pomnik przedstawiający kobietę. Ale jak ją ubrać? Co dziś jest ładnem, to za rok jest przecież niemodne: w tem tkwi dowcip organizatorów. Kobieta będzie co rok inaczej ubierana.

Zanotujmy nowy kaprys mody: nalepiane paznokcie. Cieniutkie płytki w dowolnym kolorze, nie palne — nalepia się na paznokciach i przez 2 tygodnie nie trzeba myśleć o manucure,

I drugi kaprys z za oceanu: ołówki do ust o smaku owoców. Ten pomysł wydaje mi się niebezpieczny, bo czyż ktoś spostrzegawczy nie będzie mógł wyciągnąć daleko idących wniosków z faktu, że pani X używa brzoskwiniowych, dajmy na to, ołówków, a brzoskwinie są właśnie przysmakiem pana Y... OK (O kej!) powiedziałby Amerykanin, niech się stara, by pan Y miał takie gusta, jak prawowity mąż pani X. — Właśnie!

Skąd powstało OK? Zanotuję naprzód najprawdopodobniejszą wersję.

Otóż jakiś Amerykanin chciał napisać w skrócie „All correct!" (ol korekt) to znaczy „wszystko w porządku". Nie znając dobrze ortografji zamiast A. C. napisał O. K. co wymawia się „O kej". Ostatnio spotkałem się z innem wyjaśnieniem: OK ma pochodzić od szkockiego „Ochave" — wszystko w porządku. Trzecie tłumaczenie: na Haiti za najlepszy rum uchodził rum z Cayes — „aux Cayes" — z angielska fonetycznie — O kej.

Ogólnie przyjęła się ostatnio moda rogowych okularów. Skąd one przyszły? Każdy powie: oczywiście z Ameryki! A właśnie, że nie! Wielki mąż stanu Anglji z czasów wielkiej wojny — lord Edward Grey był chory na oczy i on je pierwszy nosił. A po światowej wojnie opanowały one świat i słusznie, bo są bardziej twarzowe niż dawne w wąskiej złotej czy srebrnej oprawie.

Gdy mowa o modach to mimowoli myśli się o Paryżu. A Paryż to Champs Elysées. Jak powstała ta cudna ulica? Na rozkaz Marji Medici minister jej syna, Ludwika XIII, Concini, przeprowadził przez las pod Paryżem drogę i z niej powstały później Pola Elizejskie.

I jeszcze coś w związku z modą. Był sobie 200 lat temu taki admirał angielski Vernon, który nosił stale płaszcz z wielbłądziej sierści zwany „grogram". Admirał ten zwany przez podwładnych dlatego w skrócie „grogiem", wpadł na szatański zaiste pomysł wydzielania marynarzom rumu zmieszanego w stosunku 1/4 rumu — 3/4 wody. Trunek ten nazwano Grogiem. Dopiero teraz znalazł się inny admirał sir Charles Little, którego ruszyło wreszcie sumienie i poprawił ten stosunek, wydając polecenie, by 1/3 rumu była mieszana tylko z 2/3 wody.

Najtrudniejsza chyba część toalety pań, to dobór fryzury! Zwykle wybiera się ją „na oko", licząc się z tem, że będzie twarzowa. Jakże często wybór okazuje się — po niewczasie — nietrafny. Wtedy czarna rozpacz, zepsuty wieczór i wogóle dramat. — I temu zaradził spryciarz fryzjer z nad Sekwany. Oto na narysowanej na kartonie główce klientki, nasuwa różne fryzury nalepione na szkle. Piękna pani ma możność wyboru i nieomylnej decyzji. Jajko Kolumba? Tak, ale trzeba było o tem pomyśleć, toteż cześć genjuszowi, choćby w tak niepozornej postaci!

Zdawna wiadomo, że znakomite lekarstwo na reumatyzm to ukłócie pszczoły. To też je już skomercjalizowano: w Illertissen koło Ulm znajduje się duża pasieka. Dziewczęta szczelnie okryte zbliżają się do uli, wyjmują ostrożnie pincetkami pszczoły i podsuwają im bibułę do kłócia. Z tak nasyconych bibuł wyciąga się potem pszczeli jad dla celów leczniczych.

Jeżeli zegarek to Szwajcarja! Ale jak to się wyraża w cyfrach? Właśnie ogłoszono dane za 1938 rok; są one imponujące. — W przemyśle zegarmistrzowskim, zajętych jest 30.000 robotników. 95% zegarków wyrabianych w Szwajcarji, t. j. 26.600.000 sztuk eksportuje się o ogólnej wartości 400 miljonów złotych. Przeciętna cena zegarka wynosi zł. 14. Z państw importujących na pierwszem miejscu stoją Stany Zjednoczone z wartością przywozu 55 milionów złotych, potem idą kolejno Anglja, Włochy, Argentyna etc.

Gdy mowa o zegarach do mierzenia czasu, przypominają się zegary do mierzenia elektryczności. Wiele ż elektryczności przepływa przez nie rocznie w świecie? Blisko 700 miljardów KM, wartości około 90 miljardów złotych!

Tego roku obchodzimy 50-lecie wieży Eiffla. Było już wprawdzie parę notatek na ten temat, ale trzebaby je jeszcze uzupełnić kilkoma datami. Inż. Eiffel (Francuzi wymawiają nie z niemiecka: Ajfel, lecz Effel), zaprojektował wieżę tak, by w każdem miejscu było to samo naprężenie — stąd to pochodzi ten łagodnie do góry zwężający się kształt. Budowa wieży trwała 2 lata i wykończona była na 1889 rok, rok wystawy w Paryżu. Składa się ona z 15.000 sztuk, waży 7 miljonów kilo, kosztowała około 8 miljonów franków. Konstruowało ją 40 rysowników, którzy wykonali 5000 rysunków. — Wysokość wieży 300 metrów, a widać z niej miasto w promieniu 80 kilometrów. Jak to zwykle bywa ze śmiałymi pomysłami, tak i wieża Eiffla spotkała się z silną krytyką i oburzeniem. Taki Huysmans nazywał ją — dowcipnie zresztą — pustym lichtarzem.

Nie na stadjonach padają największe rekordy! Laboratorja fizyki są temi polami, na których osiąga się największe wyczyny. Ot w laboratorjum w Leyden w Holandji, prof. W. J. de Haas poddały płynny hel działaniu silnego pola magnetycznego i osiągnął niesłychaną temperaturę —273.076, a więc nieledwie absolutnego zera.

Ostatnie postępy na polu robienia błyskawicznych zdjęć, pozwoliły dokonać wielu ciekawych doświadczeń i niezwykle interesujących zdjęć. N. p. woda płynąca z kurka wydaje się na takiem zdjęciu jakąś galaretowatą masą. Robiąc co 1/100 sekundy zdjęcie niezwykle krótkie, bo 1/10 miljonową sekundy, zmierzono szybkość piłki golfowej i otrzymano fantastycznie brzmiący wynik, iż piłka po uderzeniu porusza się z szybkością 75 metrów na sekundę, to jest około 270 km/godz.

Tego roku obchodzimy (spóźnione) 70-lecie kartki pocztowej. Generalny dyrektor poczty niemieckiej Stephan w 1865 r. na kongresie w Kalsruhe, zaproponował wprowadzenie kart pocztowych. W 1869 r. w styczniu sprawa ta była poruszona w wiedeńskiej gazecie, a ówczesny dyr. poczty w Wiedniu von Malig przeprowadził prawo, na mocy którego od 1 października kartki ukazały się w sprzedaży. Były one początkowo kwadratowe, zginane po napisaniu w pół. Wyjątkowo nowość ta spotkała się z miejsca z pełnem uznanem, bo już w pierwszym miesiącu rozeszło się około półtora miljona sztuk. A kto wymyślił kartki ilustrowane? Otwarcie mówiąc, nie jestem pewny, ale wszelkie szanse przemawiają za tem, że uczynił to inż. Sokołowski, który około 1870 r. rozesłał pierwszy kartki z ręcznemi rysunkami do swych znajomych.

Tragikomiczne bywają czasem zdarzenia! Podczas bijatyki w knajpie portowej w San Francisco, niejaki Brabham dostał tak silnie po głowie, że upadł i zemdlał. Wezwano doktora — bo ofiar krewkości marynarskiej było więcej. Wezwany bada Brabhama czy żyje i unosi mu powiekę. Widzi, że brak jakiegokolwiek refleksu. Werdykt: „Trup". Odnoszą zabitego do kostnicy. Poczciwy Brabham na drugi dzień budzi się i ze strachem spostrzega, że znajduje się wśród umrzyków. Oczywiście ucieka z tego niemiłego otoczenia. Well! ale jak mógł doktór aż tak się pomylić? Bardzo poprostu: oto Brabham miał jedno szklane oko.

Inny, ale już tragiczny wypadek, zdarzył się niedawno w Grecji: pewien kupiec znajdujący się w trudnościach płatniczych, zabił się. Na drugi dzień na los jego padła główna wygrana!

Na Sumatrze znany jest oryginalny robot. Jest to figurka drewniana z ruchomemi rękami i oczkami. W główce znajduje się gąbka nasycona wodą tak, że robot może „płakać". Po śmierci wodza plemienia, duch jego — według wierzeń szczepu — wstępuje w lalkę. Lalkę obnosi się wśród żałobników, by duch wodza mógł jeszcze pożegnać krewnych i przyjaciół.

Policja miewa najrozmaitsze zmartwienia. Oto w USA, w stanie Montana, nakazuje przepis, że tancerki lokali, w których podaje się alkohol, muszą mieć kostjum wagi conajmniej półtora funta. W porządku. Ale jaki jest w takim razie przepis dla lokalu wegetarjańskiego?

Co szkodliwsze: kawa, czy herbata? Pytanie to pozostało, zdaje się, dotąd bez odpowiedzi. W XVIII wieku w Szwecji król Gustaw III pokusił się o eksperymentalne rozstrzygnięcie tego sporu. Kazał wyszukać 2 więźniów, bliźniaków i polecił jednemu dawać kawę, a drugiemu herbatę. Wcześniej zmarł ten, któremu dawano kawę. Mimo to Szwecja z właściwym ludziom brakiem logiki, nie wyciągnęła z tego doświadczenia praktycznych wniosków i Szwedzi piją przeważnie nie herbatę, lecz kawę.

Największy z ssaków to wieloryb. Ale jak się to wyraża w cyfrach? Oto siła jego równą jest około 150 KM, a szybkość, którą rozwija, wynosi 22 km na godzinę. A jego waga? Drobnostka: ca 75 ton.

Wiosna to chwila przełomowa w życiu kobiet, bo jest to okres okazywania się nowych kierunków mody. A moda to źródło wielkich dochodów dla Paryża. Oczywiście konkurencja nie śpi i jeżeli w wojnie kwitnie szpiegostwo, to tem bardziej na polu tak wielkich zysków, jakiem jest królestwo mody. Ale i wielcy twórcy mody też bronią się jak mogą. Osiemdziesięciu producentów założyło dla Francji P. A. I. S. = „Protection artistique des industries saisonnières". Ma ono na celu ochronę wyrobów Paryża przed kopjowaniem. Pokaz nowych mód odbywa się w pierwszym rzędzie dla wielkich kupców Londynu, New Yorku, Rio, Buenos Aires i t. d., a potem dopiero dla Paryżanek. Na takich pokazach zawsze wślizgnie się jakiś szpieg, który (względnie „która", bo są to zwykle kobiety), ma n. p. w torebce ukryty aparat fotograficzny, którym „utrwala" defilujące modele. Dalsze sposoby „szpiegowania", to przekupienie szwaczek domów mody. Panienka taka wynosi nowe modele na sobie, ukryte pod sukinią, by je w domu skopiować. Zdarza się jednak, że właściciel firmy zauważy, iż szczupła zwykle panienka, naraz zbytnio utyła i pyta wtedy niedyskretnie: „Co Pani ma tam pod sukienką...?". Wzywa się policję i narazie dany model jest uratowany. Gorsze są takie panie o pierwszorzędnych czasem nazwiskach, które kupują modele niby to dla siebie, by je czemprędzej sprzedać konkurentowi. — A wszystko musi się dziać bardzo prędko, bo moda — jak to powiedział ktoś: „La mode est faite pour se demoder!" — moda jest na to, by się prędko zestarzała!

Jerzy Dołęga Lewandowski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

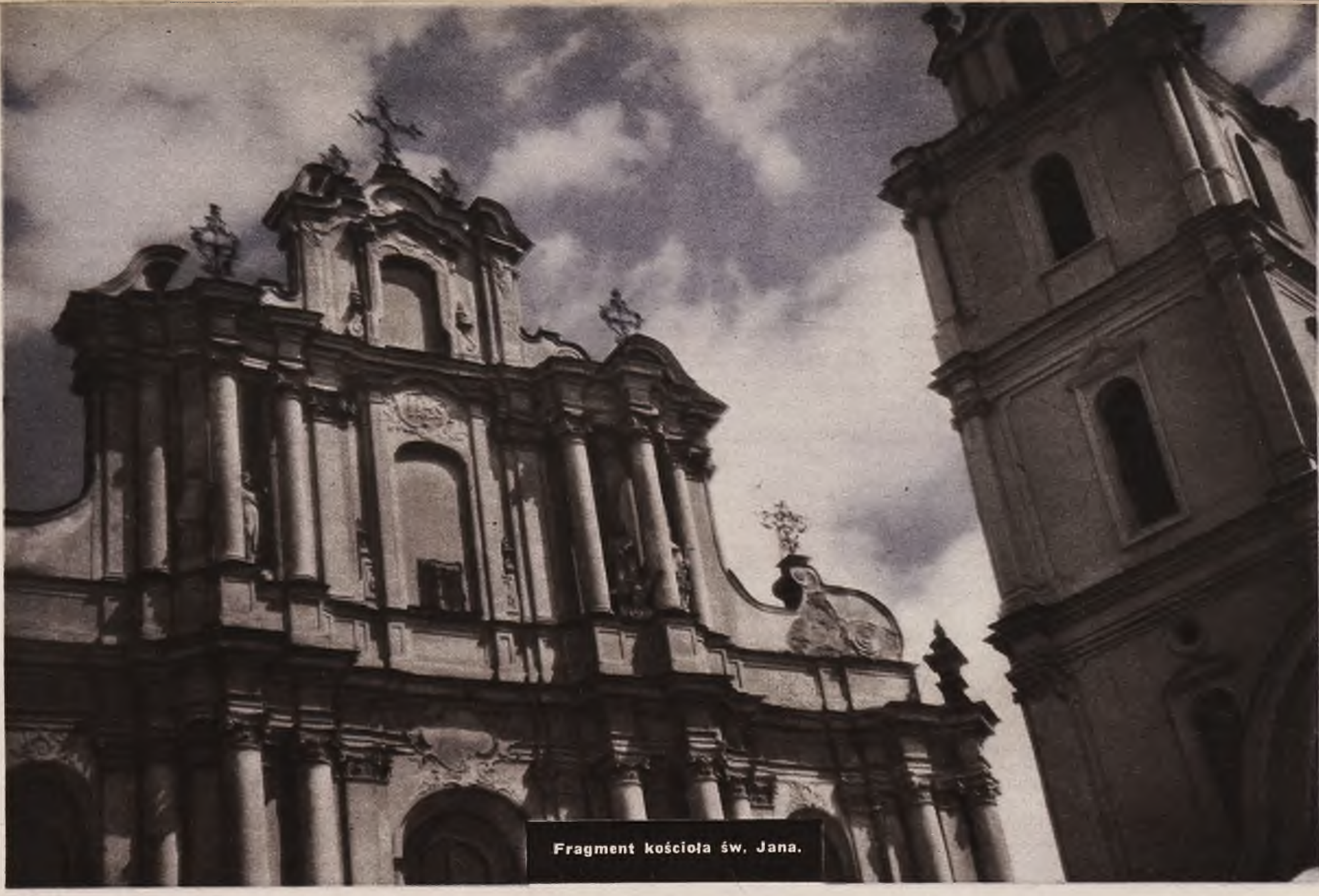
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 17 **Niedziela, 23 kwietnia 1939** **Rok V**



Pomimo ciągle powtarzających się wstrząsów politycznych, zachowało społeczeństwo polskie właściwy mu w ważnych chwilach spokój, wiedząc, że we własnej sile leży klucz do wielkości państwa. Szeroko zakreślone dozbrojenie, przeprowadzane dzięki ofiarności i gotowości społeczeństwa, jest najlepszą odpowiedzią na wszystkie pogróżki i alarmy, które zastaną Polskę silną i gotową.



Fragment kościoła św. Jana.

WILNO — REZERWAT ROMANTYZMU

Będąc wiele lat temu w Wilnie, zdarzyło mi się, że pewien znajomy — człowiek sześćdziesięciokilkoletni — zaprosił mnie do siebie na herbatę. Mój znajomy był człowiekiem bardzo miłym, typowym kresowcem, inteligentnym, choć, jak się zdawało, o nieco naiwnem zacięciu. Gdy szedłem ulicą Mickiewicza, wzdłuż niskich, często odrapanych i otoczonych małemi, śmiesznemi ogródkami domów, starałem się wyobrazić, jak też mój znajomy może mieszkać. Wiedziałem, że był zamożny i mógł sobie pozwolić na piękne mieszkanie. Zanim doszedłem do jakiejś konkluzji, stanąłem przed jego domem i miałem rozwiązanie zagadki.

Dom był staroświecki, parterowy z zewnątrz prezentował się bardzo niefortunnie. Zadzwoniłem... Otworzono mi drzwi i wszedłem.

I naraz doznałem niejako olśnienia; może wyrażenie to jest zbyt silne, ale nie wiele chyba przesadzone. Wnętrze tego domu okazało się wspaniałe, pełne starych mebli, cennych obrazów, sztychów angielskich, minjatur, rzeźb. W salonie stały wielkie szafy z książkami, na stołach porozrzucane pisma, wśród których prócz „Słowa", „Czasu", „Ilustrowanego Kuryera Codziennego", znalazłem i „Figaro" i „Illustrated London News" i „Illustration". Zrazu uważałem ten etalaż dzienników i tygodników za rodzaj efektownego bluffu: kupił kiedyś jeden numer i chwali się nim przed znajomymi. Sprawdziłem datę: były najświeższe!



Nad Wilją.
Fot. Andrzej Dobrski, Mańkiewicze.

Wnet przyszedł gospodarz. Rozgadaliśmy się na dobre. Opowiadał o sztuce, o historji, robił śmiałe i ciekawe porównania obecnych czasów z przeszłością, dyskutował na wszystkie tematy. Zdziwienie moje szło crescendo: w tym miłym staruszku nigdy nie przeczuwałem człowieka o takich horyzontach! — Był mądrzejszy i bardziej współczesny mimo swoją sarmacką, staropolską fizjonomję, mimo staroświeckie otoczenie, mimo portrety dziadków na ścianie, niż niejeden z naszych postępowych wielkich ludzi do małych interesów, niejeden z tych, którzy twierdzą, że są solą ziemi.

I tak słuchając wywodów p. Ł., przenosząc wzrok z gospodarza na różne piękne zabytki, znajdujące się w mieszkaniu, zaczął we mnie dojrzewać, krystalizować się, rosnąć „problem wileński". Bo dotychczas wiedziałem (i widziałem), że Wilno jest piękne, że brak mu wielu nowoczesnych urządzeń kulturalnych, dobrych wodociągów, elektryczności, hoteli, że zamiast trotuarów są deski i kocie łebki, że jest brudne, że ludzie zaciągają z kresowa, że żyją w małem kółku swych spraw, mają dużo kłopotów — znałem wiele innych, powtarzanych od dziesiątek lat, komunałów. Oto był bagaż, jaki ze słyszenia i z czytania przywiozłem do tego miasta i który zdawały się potwierdzać zobaczone i usłyszane rzeczy i słowa samych mieszkańców.

Ale teraz dopiero, wsłuchując się w słowa mego miłego gospodarza, dochodziłem do przekonania, że to nie jest takie proste. Zacząłem być pewny, że Wilno i Wilnian nie można zbyć taką charakterystyką: jest w nich coś więcej, a bodaj że tak dużo, iż trudno nad tem przejść do porządku dziennego.

Pierwsze to spostrzeżenie zaczęło mnie gnębić i zmuszało do dalszego konfrontowania moich „baedeckerowych" pojęć o mieście z rzeczywistością. Zacząłem się włóczyć po zaułkach, koło uniwersytetu (nie było to zresztą o tyle dziwne, że byłem poprostu studentem tej uczelni), chodziłem na plac Łukiski, przesiadywałem u Zielonego, Stralla, chodziłem na Pohulankę do teatru oraz do drugiego przybytku Melpomeny na ul. Mickiewicza, do kin, do George'a. Ponadto pytałem Wilnian, podsłuchiwałem ich rozmowy, wnikałem w ich duszę.

Było to zajęcie bardzo ciekawe: niczem uczeni włoscy czy angielscy, odkopujący Pompei i Herkulanum, „odkopywałem" Wilno. To Wilno zasypane bieżącymi faktami, przygnębione biedą, przygaszone wielkomiejskiemi łukowemi lampami, Warszawy, Poznania, czy wkońcu Krakowa i Łodzi, Wilno, potulne, ciche, Wilno na emeryturze.

I gdzie uderzyłem młotem odkrywcy, gdzie zeskrobałem tynk, tam ukazywał mi się cudny, ciekawy, nowy obraz. Odkrywałem rezerwat dawnej, jędrnej, pięknej polszczyzny, tej polszczyzny zapomnianej, butwiejącej w powieściach Kaczkowskiego, Kraszewskiego, w „Domu mojego dziadka", w „Pamiętnikach kwestarza" Chodźki, podawanej w dawkach homeopatycznych przez Weyssenhoffa, w „Puszczy", w „Sprawie Dołęgi", w „Unji", przez Rodziewiczównę, Orzeszkową. Ale taka polszczyzna, to papier, to słowo drukowane, któremu można wierzyć lub nie, można je nazwać bajaniem lub romantyzmem, a tu, to żywi ludzie.

Ulicami uwijają się małe dorożki, na małych kołach, ale zaopatrzonych w olbrzymie dętki automobilowe. Ulicami jadą gęsiego wozy długie a wąskie, ciągnione przez konie w hołoblach. Chłop, który idzie obok konia czy siedzi na wozie, ma płowe wąsy i jasne, niebieskie oczy. Takież oczy, pełne naiwności i wdzięku mają dziewczyny wiejskie, zjawiające się na targu. Ludzie się nie spieszą. Mówią stosunkowo mniej, jak w innych miastach. Pomilczą, podumają, ot i powiedzą coś swym śpiewnym akcentem. Myśl u nich krystalizuje się wolno, są trochę nieufni, ale jak już mówią, to z dłonią na sercu.

Przypominają się postacie tak ciekawe, tak drogie, tak bardzo polskie: świetny malarz Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz, gawędziarz znamienity, mówiący z kulturą zachodnio-europejską a z akcentem kresowym, Czesław Jankowski, świetny historyk, autor „Powiatu oszmiańskiego", człowiek wielkiej kultury duchowej i literackiej. Przypominam sobie długie rozmowy z wujem Zygmuntem Jundziłłem w jego zacisznym gabinecie pełnym obrazów, książek, starych polskich tkanin. Na półkach książek chmara: obok najnowszej pracy prawniczej francuska historja Napoleona czy pamiętnik jakiegoś męża stanu, obok Puszkina dobrana polska beletrystyka czy najnowsza komedja Shawa. Przypominają się anegdoty o dziwakach wileńskich: oto p. W. poluje w korytarzach Hotelu Europejskiego na zające, które żywe przywiózł od siebie ze wsi. Przypomina mi się wkońcu czcigodna postać Alfonsa Parczewskiego, który chociaż nie bardzo wierzył w moje wiadomości z zakresu prawa kościelnego, jednak nie przestał być jednym z najkulturalniejszych ludzi w Polsce. Przypominam sobie gabinet również pełen pamiątek hr. Huberta Krasińskiego, zatopionego w pracy naukowej i tyle innych jeszcze obrazów i zdarzeń. — Wspomnienia, wspomnienia, snujące się jak deszczyk wileński, jak mgła, unosząca się rankiem nad miastem...

Na prawo: Kościół św. Anny zbudowany w stylu flamandzkiego gotyku i kościół OO. Bernardynów.



I z tych przeżyć, obserwacyj, z tej całej atmosfery wileńskiej, powoli tworzy się, wyłania, emancypuje, krystalizuje jedno wielkie przekonanie, jedno przeświadczenie: Wilno jest najbardziej polskiem z miast Polski. — Obrażą się wszystkie inne, gromy ciskać będą obywatele i mieszkańcy innych miast: jakto najbardziej polskie? Przy tym procencie „litwaków", Rosjan (nawiasem mówiąc jeden z reprezentantów ich p. Pimonow, człowiek o wielkiej kulturze, dobry obywatel Rzeczpospolitej, umarł kilka lat temu), przy takiej niższości, jeśli chodzi o ilość wydanych książek, pism, instytucyj społecznych? Nie, przepraszam, pomyliłem się: Wilno jest najbardziej staropolskie!

Poniżej: Kartusz herbowy Michała Kazimierza Paca na kościele św. Piotra i Pawła przez niego fundowanym, (z dzieła „Wilno" hr R. Przezdzieckiego)





Powyżej na prawo: Dom, w którym mieszkał Juljusz Słowacki, otacza romantyczny ogródek.

Ledwo padło to słowo, a dyskusja już gotowa: staropolskie? To niby co? Zaśniedziałe sejmikowe, pełne burd i pijatyk, zacofane, brudne, niechlujne, ciemne. I to i nie to... Staropolskie, to coś więcej!

Kwestja „staropolszczyzny" nie jest taka prosta: nie możemy pozostawać w tyle za innymi narodami Europy, ale musimy, mimo cały postęp, zachować pewne cechy specjalne, właściwe naszemu duchowi, naszej psychicznej strukturze, naszej tradycji. A te cechy oczywiście dobre, złych niema co zatrzy-



Na prawo: Fragment frontonu neoklasycznego stanisławowskiego ratusza (na prawo), w głębi kościół św. Kazimierza.



Uniwersytet Stefana Batorego: dziedziniec Poczobuta.

mywać — znajdziemy w przeszłości. Mądrość polega na tem, aby idąc naprzód z postępem, tworząc nowe linje kolejowe, nowe typy samolotów i nowe fabryki, zachować swą cywilizację swego ducha, czyli postąpić tak, jak Japończycy. W tej dziedzinie ani żaden rozkaz, ani rozporządzenie, ani też ankieta prasowa nie może dać rezultatów doraźnych: na wytworzenie pewnej cywilizacji czy odrodzenia pewnych cech potrzeba wieków, i wtedy staje się ona trwała i wartościowa.

Ludzie wileńscy mają dobre i złe cechy dawnej Polski: są inni, inna jest też technika ich życie, inne reakcje na zagadnienia bieżące. Jedną z tych cech charakterystycznych to to, że mają czas. Robią nieraz wrażenie ludzi, których byt jest zabezpieczony na lata naprzód, gdy faktycznie porają się z takiemi samemi trudnościami, jak wszyscy inni. Jest w nich jakiś spokój, jakaś zaduma, jakaś rzewność, powiedziałbym. I determinacja. Taka sama determinacja, jaką spotykamy u Lwowian, ludzi broniących bastjonu Najjaśniejszej Rzeczpospolitej, od wieków, i nie dających się ani hordom tatarskim, ani Turkom, ani bandom rusińskim podczas wojny światowej.

Wilno zeszło z widoku całej Polski jako mało przemysłowe, ciche, nieproduktywne, możnaby powiedzieć pod względem praktycznym — jałowe. Tak, mniej tu przemysłu, handel mało rozwinięty, bilanse bankowe raczej bierne. Ale wszystkie te minusy nie przesądzają o kapitałach ducha, które drzemią w najlepszych safes'ach świata — w sercach! Że te kapitały mają dużą wymowę, że potrzeba ich Państwu i Narodowi, o tem świadczy nasza cała historja. Bez nich nie byłoby Polski, nie byłoby powstań, walk, bohaterstwa. I tak się już złożyło, że Polacy najchętniej bodaj właśnie w tych schowkach sercowych lokują swe kapitały. Lekkomyślność? Brak zrozumienia techniki życiowej? Niewiadomo! Dziś, gdy świat przedstawia obóz warowny, gdy armata i karabin są atutami dyskusji, lada chwila pokaże się wartość ducha. Nawet samostrzelająca armata ustanie w pewnej chwili, gdy nie podsyci jej wola człowieka, jego duch, jego moralna siła. I z tego punktu widzenia nietylko Wilno, jako symbol pewnej mentalności Polaka, ale też z niem łączący się charakter człowieka, rodzaj jego poglądów życiowych, nabiera specjalnego znaczenia. Ostatecznie bodziec do walki o Polskę wyszedł od tych dusz promienistych, od tych Filaretów, którzy z Mickiewiczem na czele kochali wileńskie mury. Zdaje się, że po fali „zcudzoziemszczenia", jaka, siłą faktu, zalała na pewien czas Polskę, po chęci naśladowania Zachodu w jego technice, w jego ekonomicznej kulturze, przyjdzie, i to prędzej niż się spodziewamy, „moda" na staropolszczyznę. Nie będzie tu chodzić o odgrzebywanie złych cech, o małpowanie „braci szlachty" w jej ujemnych objawach życiowych, ale o pogłębienie naszej polskości i odszukanie nas samych.

Wszystkie te uwagi i wspomnienia, równie zresztą pobieżne, jak poważny i ciężki jest sam temat, nasuwają się nam w chwili, kiedy z pod prasy drukarskiej wyszła piękna, cenna i godna poznania książka „Wilno" hr. Rajnolda Przezdzieckiego, wydana przez „Bibljotekę Polską". Autora znamy oddawna, z jego prac literackich i działalności jako zastępcy dyrektora Protokołu Dyplomatycznego w M. S. Z. Rozporządzając cennymi zbiorami, odziedziczonymi po ojcu i dziadku, znanych autorach i bibljofilach, hr. Przezdziecki napisał piękną książkę o Wilnie, oglądając je z punktu widzenia historyka i historyka sztuki. Możnaby to dzieło nazwać „baedeckerem romantycznym" w najwyższym stylu, gdyby z słowem „Baedecker" nie łączyły się pojęcia nieco banalnego, „sprasowanego" wyliczenia dzieł sztuki danego miasta czy kraju, przeznaczonego dla przygodnego etranżera. Wspaniałe ilustracje, niezwykła znajomość przedmiotu, czynią z tej miłej książki rzecz godną uwagi. Powstała zapewne w myśli, że skorzysta z niej w pierwszym rzędzie Francuz, Anglik czy Niemiec, pisana jest bowiem po francusku, ale i Polak niejednego się nauczy i wejdzie w mistyczny świat wileński, pełen cieni przeszłości, przesycony dniem wczorajszym, jak tkanina jedwabna zapachem perfum. A zwłaszcza dziś, gdy Litwa kowieńska tak bardzo zbliżyła się do nas, gdy zdaje się nastały czasy tak podobne do chwili, kiedy Zakon krzyżacki zagrażał dwom sąsiednim narodom, warto poznać tę stolicę naszego dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, które w naszych dziejach taką odegrało rolę, tyle dało nam wielkich synów Ojczyzny i tak ściśle zrosło się z Koroną.

Jan Maleszewski.



Dziedziniec uniwersytetu wileńskiego z dzwonnicą św. Jana (według litografji z pocz. XIX wieku I. K. Wilczyńskiego, wydanej w Paryżu, z dzieła „Wilno" hr. R. Przezdzieckiego).



Fragment ulicy Skorupki. Ponad murami widoczne okienko mieszkania Mickiewicza.
Zdjęcia: Jan Szwedo, Kraków.





Od lewej: Fragment ulicy Szklanej niezwykle charakterystycznej dla Starego Wilna. — Ostra Brama, w której mieści się słynący cudami obraz Matki Boskiej.

WANDA KOMAROWA

Lawina

NOWELA

Jechała w daleką drogę. Wszyscy, którzy ją odprowadzali, twierdzili z przekonaniem, że za kilka miesięcy wróci zdrowa. Kiedy usłyszała słowo zdrowa, coś ją właśnie mocno zabolało w lewym boku. Serce drgnęło niespokojnie, straciwszy swój zwykły rytm i wczuwa się w to jedno maleńkie miejsce, dające znać o sobie. Blade policzki wykrzywił skurcz, ale tak nieznaczny, że go nikt nie zauważył. Stojąc w oknie wagonu, patrzy spokojnie.

Na peronie dość ciemno. Zaaferowani ludzie kręcą się w różne strony, potrącając wzajemnie bez zdawkowego słowa przeprosin. Ktoś kogoś szuka i machając ręką, woła podniecony. Jakaś parka stoi przytulona, nie widząc dokoła nikogo prócz siebie. Ktoś wyciera nos z hałasem, jak gdyby chciał zatrzeć ślad wzruszenia. Ktoś uśmiecha się, naprędce sfabrykowaną wesołością gwoli nieokazania tego, co kryje się w głębi duszy: smutek, radość, a może poprostu zimna, nie dbająca o nic obojętność. Rwą się słowa; strzelają jak raca. Ginące w ciżbie głosy urastają w zgiełk nieopisany. Na sąsiedni tor wpadła z impetem, ziejąca dymem, rozdygotana machina. Wypluła kłąb pary, wytrzeszczyła jaskrawe ślepia i olśniwszy niemi goniący, zdenerwowany tłum, zastygła w bezruchu. Jak rój drobnych, nic nie znaczących, szarych much. wysypali się z niej ludzie, wsiąkając niewiadomo gdzie.

— Zaraz napisz, jak przyjedziesz — wpadło niechcący w ucho stojącej w oknie, uśmiechającej się kobiety.

— Naturalnie. Jak tylko przyjadę — odpowiada męski głos tuż za jej plecami.

Nie obejrzała się nawet, choć czuje ciepło jego oddechu na swojej szyi. Ślizga się dalej czujnym wzrokiem po niespokojnym tłumie, wyławiając z niego tych swoich, którzy ją przyszli odprowadzić. A potem, nagle, przerzuca tęskne oczy wdal, szukając w niej trwożnie znajomej sylwetki i do ust przyciska wiązankę aksamitnych róż — prezent pożegnalny od tego, który wpatruje się w nią rozkochanym wzrokiem.

Pociąg drgnął. Stuknął, szczęknął łańcuchami. Odetchnął głęboko, jak bardzo znużony człowiek, który nie wie, kiedy odpocznie i potoczył się cicho, posuwiście.

— Pisz Halka, pisz! — Krzyknął znów ten, który przyniósł róże i podnosi w górę powiewający kapelusz.

Ona odpowiada mu ręką, szukając jeszcze na peronie rozgorączkowaną źrenicą tego jednego, który nie przyszedł. Potem odrywa się od okna i pijanym krokiem, wtórującym zataczającemu się pociągowi, wchodzi do przedziału. Zdejmuje futro, kapelusz; wciska swą szczupłą postać w kąt wygodnej pluszowej kanapki i znów patrzy w wielką szybę, za którą ucieka pulsujące życiem miasto.

Gonią się rzędy oświetlonych latarniami domów. Gdzieniegdzie wystrzeli kikut nagiego, rozczochranego drzewa. Zaśmieje się czerwono-świetlną plamą jakiś szyld. Ale było teraz coraz mniej. Jeszcze od czasu do czasu zamajaczy mała, wrosła w ziemię, drewniana, koślawa rudera i zgaśnie wielkomiastowa łuna, sącząca się, jak przekrwiona mgła. A za oknem rozpostrze się szara, zimowa noc.

Pociąg stękając, pędzi, rwie naprzód, połyka kilometry. Na tle ramy okiennej roztańczyła się fontanna iskier, sypiąc płomienny deszcz.

„Nie przyszedł. Widocznie nie mógł. Coś go zatrzymało" tłumaczy dziewczyna, nie bardzo wierząc przekonywującym swoim myślom i przygląda się złocistej kaskadzie.

— Pani daleko — wyrywa się nagle z zadumy słyszany przelotnie już głos.

— Daleko — bąka niechętnie.

— Taka młoda i tak sama? — dopytuje się mężczyzna.

Spojrzała nań uważnie: starszy, siwiejący pan przygląda jej się z zainteresowaniem.

— Tak — odpiera po chwili, zakaszlawszy lekko, a uśmiechnąwszy się, dodaje. — Nie zginę. Znam świat. — Ale wnet pomyślała, że właściwie już zginęła, bo jedzie tylko ciałem — duszę zostawiwszy tam, na miejscu.

„Dlaczego nie przyszedł? Czyżby już miał jej dość?"

Skurczyła się, stając się oto biedną i samotną. Bezwiednie przeczytała wiszące naprzeciwko, w trzech językach słowa: — „Nie wychylać się z pociągu". — I nagle poczuła chęć dać nurka głową wdół; w ten rozdzwoniony pęd. Wirować w powietrzu razem z drobinami śnieżnego pyłu. Rozsypać się na atomy i między gwiazdami obracać się dokoła jądra Niebytu, aż wsiąknie weń na zawsze.

— Pani wydaje się zmęczoną — zauważył melodyjnym głosem mężczyzna.

Przypomniał jej o swej obecności, więc odpowiada mu cicho, powracając do rzeczywistości: — Tak, trochę. Położę się. Podniosła się z ławki, przegiąwszy zgrabne ciało i wyciąga ręce po paski, w których tkwi zwinięty pled, ale jego zręczne ramię już ją uprzedziło. Ułożył ją. Otulił.

— Śpij dziewczynko. Przed nami długa, zimowa noc — szepce ciepło.

Dziewczyna leży cicha, wdzięczna nagle temu nieznanemu człowiekowi, że jest oto tuż i że się nią opiekuje. Leży z przymkniętemi powiekami, które ją dziwnie pieką, a na siatkówce tęczówki ma nieustannie ten upragniony cień. — Wreszcie zmógł ją sen.

Dzień już był, kiedy otworzyła oczy, mrużąc powieki, bo padł na nie natrętny promień słońca. Zauważywszy to mężczyzna, podniósł się natychmiast i odgrodził go od niej firanką.

— Wyspała się pani?

— O tak... i dzięki panu.

— Dzięki mnie?

— No, tak, bo gdybym była sama w przedziale, bałabym się.

— A więc i w moim wieku mężczyzna może się na coś przydać kobiecie — odrzekł żartobliwie.

Czuje się wypoczętą, jest w lepszym humorze, więc uśmiechnąwszy się, obrzuca go zalotnem spojrzeniem.

Przetrzymał ten zaczepny wzrok i kiedy sięgnęła do torebki po lusterko, zauważył: — Kochają panią. Tylu ich wczoraj odprowadzało... Pewnie ojciec, brat, może mąż?

— Nie mam męża i narazie nie szukam go — westchnęła lekko.

— Pewnie... Sam się znajdzie, jak przyjdzie czas.

Spojrzała w okno, które do połowy kryje rozkołysana firanka.

Migają za niem białe, śniegiem przyprószone płaszczyzny. Czasem podnoszą się z lekka, to znów urastają w błękitne, lasem najeżone wzgórza. Przybliżają się, albo uciekają głębiej, psując prostą linję jasnego horyzontu. Krajobraz jest malowniczy, ale ona patrząc, nie zwraca nań uwagi, bowiem znów przysłonił jej oczy natrętny cień.

AMAZONKA MUSIC-HALLU
Fot. Polski Tobis.

— Smutna pani? — podjął mężczyzna.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, niespodzianie zagadnie go sama:

— A pana pewnie odprowadzała żona?

— Hm... w moim wieku ludzie przeważnie już są żonaci. Ale... Po co to pani? — odrzekł po małej chwili ledwie widocznego wahania i pogładziwszy dłonią ciemne, gęste włosy, zmienił nagle temat — dokąd pani jedzie? Wolno wiedzieć?

— A może nie — odpiera przekornie. Bawi ją ta gra w chowanego.

— Dlaczego? Przecież jesteśmy już dobrymi znajomymi. Spędziliśmy z sobą, wprawdzie milcząc, ale całą noc.

— Och, byłam do pana odwrócona plecami.

— Ale czuła pani moją obecność.

— Tak... ledwie, ledwie. Jak to zwykle przez sen.

— No, to już jest coś. W dzisiejszych czasach elektryczności, pary, motoru, wszystko się prędko dzieje. A pani przecież jest nowoczesną kobietą. Z sylwetki, z twarzy o rysach dziecka. może nawet z serca?

— Właśnie, że z serca nie! — przeczy żywo dziewczyna i urywa natychmiat. Właściwie poco? Co mu do tej duszy!

— Więc dokąd? — ponowił poprzednie pytanie. — Może tam, gdzie i ja? Jadę w strony, gdzie bierze początek Wisła.

— No, to ja trochę wyżej i znacznie dalej — odpowiada ona, a po chwili ciągnie zamyślona, jak gdyby kończąc niewypowiedzianą myśl:

— Tak się z panem dobrze gawędzi... Szkoda. Pożegnali się, jak naprawdę dobrzy znajomi.

— Powracając zboczę. nałożę drogi, ale odwiedzę panią — mówił wzruszony mężczyzna, całując jej drobną, białą rękę.

Ona nie bardzo w to wierzy, ale uśmiecha się radośnie, przylgnęła bowiem dziwnie, tak od razu, do tego człowieka. Jest dla niej stryjciem, a może wujciem — wszystko jedno kim; jest swój.

— Zapomni pan — woła wesoło. wychylając się z pociągu, który opuścił, żeby przesiąść się do innego.

— Nie zapomnę. Nie! — odrzuca on, przesyłając ręką ostatnie pozdrowienia.

— — — — — — — —

Miesiąc już była w sanatorjum: blada, ciągle wyczerpana. Patrząc na kąpiące się w złotych blaskach słońca szczyty, z zazdrością myśli o tych, którzy gonią po nich, nie wiedząc, co to zmęczenie. Ach, czy zdrowie przypnie jej kiedy skrzydła do ramion, które poniosą ją tam, gdzie dziś ślizga się tylko zmatowiałym wzrokiem? Doktór niby pociesza, ale tak jakoś nieśmiało. Patrzy wtedy w okno. jak gdyby unikał jej wzroku. Ale... może to się jej tylko tak wydaje? Jest przecież taka przewrażliwiona. Gotowa nawet na całem znaleźć dziurę. Tak jest stale w ostatnich czasach, a dziś już męczy ją coś nie do zniesienia. Dlaczego? — Może drażni ją ten kaszel, dochodzący przez ścianę z sąsiedniego pokoju? A może miarowe uderzanie rolety na werandzie, którą zapomniano na noc zwinąć, a którą szarpie wiatr? Idzie dziś od gór lodowatem tchnieniem. Kładzie się przed nim pokornie skamieniały zwykle las. Niesamowite głosy kołyszą się w rozdrganej powietrznej fali, wyjąc i chichocząc na wyścigi. Idzie od dalekich turni, niedostępnych przełęczy świecących śnieżną pokrywą w zielonkawej jasności księżyca.

— Strasznie tam musi być, ale i pięknie. Ach, jakbym tam chciała być w tej chwili — wzdycha dziewczyna. patrząc z łóżka na znajomy widok.

Nagle, na tle okna zamajaczył znajomy cień. Nie zapomniała o nim, o nie! Choć myśleć nawet nie chciała. Przyczaił się jednak na dnie serca, znienacka zaglądając w oczy. Chodziła wtedy chmurna, niezadowolona, jakby co ją ukąsiło. Tak... ale teraz cień przybiera wyraźniejsze kształty, staje się bardziej skoncentrowany, materjalny... Tak, to przecież już żywy, znajomy, dawno nie widziany, a kochany zawsze człowiek, ten sam, którego daremnie wyglądała na peronie przed odjazdem. Puka w okno i pokazując ręką na góry, tonące chwilami w kłębowisku groźnych, galopujących chmur, mówi szeptem:

— Chodź, pójdziemy tam!

— Sen? Mara? — Miała dziś pod wieczór trochę gorączki. Przeciera zdumione oczy. — Nie. Rzeczywistość! — Więc pójdzie... Dlaczego miałaby nie iść? Pójdzie z nim na te wymarzone szczyty. Wymknie się przez okno. Nic trudnego, mieszka przecież na parterze.

— — — — — — — —

Wziął ją za rękę chłodną dłonią, jak ten śnieg. którego mieli przed sobą całe zwały. Ona dziwi się nieco, ale jest tak radosna, że nie ma czasu wiele się nad tem zastanawiać.

Noc taka straszna, burzliwa, ale poco się bać, gdy idą we dwoje... ręka w rękę. Przecież prowadzi on. Ona nie wie dokąd, ale to wszystko jedno gdzie. Idzie z nim, na nieznane. Lekką stopą brnie po głębokich zaspach... Jakie to dziwne, i wcale nie trudne... Zawsze myślała, że to wszystko jest dla niej nie do zdobycia, a tu oto idzie. nie czując najmniejszego zmęczenia. Przed nimi rysują się skały — zapory zdawałoby się, nie do zdobycia. Trzeba je ominąć.. Nie, rozstąpiły się usłużnie, wskazując dalej prostą drogę. Dlaczego tak? Pewnie dlatego, że idzie z nim. Przelękła się jednak, więc spojrzy mu w twarz, chcąc zapytać o przyczynę, ale on patrzy przed siebie dziwnym, szklistym wzrokiem i tylko mocniej ściska jej dłoń.

Idą... idą... wokoło nich sypią się z nieba srebrzyste gwiazdy. niecąc światło błędnych meteorów; dzwoniąc melodją, padają pod stopy cicho, miękko; urastają z nich spiętrzone góry. I nagle zawirowało, zakotłowało się — jeden podmuch wiatru zwiał wszystko kędyś na bezdroża.

— Dokąd idziemy? — pyta drżąca dziewczyna.

Nie odpowiedział. tylko wyciągniętą, sztywną ręką, połyskującą jak stal, wskazał jakiś daleki cel. Wpatruje się dziewczyna w ten bielą przyćmiony punkt, zdziwiona coraz bardziej. Ale idzie, bo on prowadzi.

Nagle obejrzała się poza siebie, jak gdyby z nieuchwytnym żalem za tem. co tam pozostało. Ale nie widzi już nic... Biała mgła pochłonęła dolinę i dom, w którym płonął ciepły, przytulny ogień.

— Dokąd idziemy? — pyta po raz drugi, chcąc się zatrzymać.

Zatoczył ramieniem nieokreślone koło.... I oto tuż, przed nimi, wyrósł, jak z pod ziemi, kryształowy gmach, obwieszony koronką stalaktytów.

— Więc tam jest kres naszej drogi? — pyta olśniona. — Więc tam?

Chce się mocniej przytulić do niego w nagłej pieszczocie, ale. gdzie on jest?

Rozgląda się przerażona, blada.

Znikł. jak wytwór sennego mózgu, tylko przed nią majaczy szklany dziwny blok.

I oto zastępuje jej drogę biały anioł, sięgający granatowego stropu i dzierżącym w dłoni mieczem wskazując przed siebie, rzecze: — Tam jest królestwo śmierci! Wracaj na ziemię póki czas!

— A gdzież jest on? — pyta zdumionym wzrokiem dziewczyna.

W tej chwili dochodzi ją z przeźroczystego pałacu wołający stłumiony głos kochanka.

— Do mnie! Do mnie! Oto nasze ślubne łoże. Puchem ze srebrnej okiści wymościły je parki. Ze śnieżnego adamaszku utkały wezgłowie. Otoczyły je girlandą lodowych róż.

Niepomna na przestrogę dziewczyna chce biec w ramiona, które się ku niej wyciągają, ale nagle, tuż przed nią, rozwiera się ciemna, przepaścista czeluść, pełna drwiących chichotów i ogromne potwory o ludzkich twarzach wyciągają ku niej zbrojne w kolczaste szpony, łapy.

Już ją jeden zahaczył pazurem. aż krew trysła z białej piersi. Inny, bijąc w skałę pletwiastym ogonem, wije się w spazmatycznym śmiechu.

Kłębią się obrzydłe cielska, wywalając krwawe jęzory, pełne jadowitej śliny.

„Duchy zła, obleczone w ludzkie ciało" — myśli, cofając się o krok, przestraszona dziewczyna i niepewnym ruchem zaciska wkoło bioder swą szatę. A znajomy głos woła coraz bardziej znużony, coraz cichszy:

— Do mnie! Do mnie! Jam jest twe przeznaczenie. Beze mnie życie twoje straci cały sens.

— Ach, ten głos! Te słowa. — Lecz, jak tu iść ku niemu? Jak przebyć tę dzielącą ich przepaść, ziejącą nienawiścią ku wszystkiemu, co Wielkie i Niezrozumiałe?

— Przybywaj! — woła zbolały głos. — Bez ciebie ja stałem się niczem.

Rozdygotana dziewczyna chce biec, ale zamiast posunąć się naprzód, cofa się znów o krok.

— Skacz! — dobiega ją pełne rozpaczy słowo, nikłem brzmieniem przeradzające się w jęk.

Przymknęła oczy, ażeby nie widzieć tych ohydnie wykrzywionych twarzy. cieszących się z jej bólu, i mocno przyciskając dłonią serce, ażeby go jej nie wydarto, zbiera się do skoku...

— — — — — — — —

Z hukiem, trzaskiem, porywając głazy, niosąc śmierć i zniszczenie, runęła do jej stóp potworna, śnieżna masa, grzebiąc pałac kryształowy, jego, i dziwne stwory.

— — — — — — — —

Otworzyła błędne. tkwiące jeszcze w okropnym śnie oczy.

— Jak się ma moja dzieweczka — oprzytomniły ją spokojnie wyrzeczone słowa znajomego z wagonu. — Już dawno południe. a pani jeszcze śpi? Nie mogłem się dopukać, więc wszedłem. I sądzę, że dobrze zrobiłem. Musiała pani mieć ciężki sen; krzyczała pani.

— O tak! — odpowiada ona, nie mogąc się jeszcze swobodnie uśmiechnąć. Spocone mam czoło. To winien ten halny wiatr. Dobrze, że mię pan obudził.

I nagle, siadając szybko na łóżku, wyciąga ku niemu radośnie obie dłonie: — Strasznie się cieszę, że pan nie zapomniał i odwiedził mnie! — woła. — Kiedy pan przyjechał?

— Dziś rano. I proszę sobie wyobrazić. jeszcze na dworcu powitała mię wiadomość o strasznej katastrofie. jaka miała miejsce w górach dzisiejszej nocy. Jakiegoś zbłąkanego turystę zasypała lawina. Już podobno pogotowie wyruszyło na pomoc.

Dziewczyna rzuciła nań nieruchome, przerażone spojrzenie:

— To on! — wyszeptała bezdźwięcznie zbielałemi usty, osuwając się ciężko na poduszkę.

CZASY SIĘ ZMIENIAJĄ...

WCZORAJ

DZIŚ





Rok 1938. Niedawno odbyło się w Tiranie wesele króla Zogu z piękną hr. Geraldiną Apponyi, a min. spraw zagr. Italji hr. Ciano, jako osobisty przyjaciel króla, pełnił rolę świadka w uroczystościach ślubnych.

Rok 1939. ...a w rok później, w pierwszych dniach kwietnia, Italja anektuje Albanję, wypędzając swego pupila króla Zogu wraz z królową, która kilka dni przedtem urodziła następcę tronu. Hr. Ciano znów zjawia się w Tiranie, ale w innej zgoła roli: widzimy go w otoczeniu filowłoskich Albańczyków.





Rok 1935. Król królów, zwycięski lew Judy, Haile Sellassie, przyjmuje wraz z cesarzową hołd dyplomatów akredytowanych przy rządzie abisyńskim, siedząc na pozłocistym tronie, w głębi którego widnieją emblematy cesarskiej władzy. Wszystko zdaje się wróżyć pokój i szczęście.

Rok 1936. W rok później negus negesti, — wygnaniec z swej ojczyzny — broni w Genewie przed forum Ligi Narodów spraw Abisynji. Niewiele mu to pomogło, zwiększył tylko zastęp monarchów bez tronu.





Rok 1936. U szczytu swego powodzenia prezydent republiki czechosłowackiej dr Benesz spotyka się w Bukareszcie z królem Karolem i z regentem Jugosławji, ks. Pawłem. Mała Ententa, przeciwdziałająca restytucji Habsburgów, nie przeczuwa jeszcze, że wkrótce jej obawy będą bezprzedmiotowe.

Rok 1938. Jak domek z kart padła wkrótce potem polityka Benesza i niepodległość Czechosłowacji. Sam prezydent doprowadziwszy do upadku swą ojczyznę, udał się na wygnanie.





Rok 1914. W niemieckim sztabie głównym: Wilhelm II — „oberster Kriegsherr", pan życia i śmierci miljonów ludzi, naradza się z feldmarszałkiem v. Hindenburg i generalnym kwatermistrzem Ludendorffem nad zawojowaniem Europy.

Rok 1932. Rodzony syn cesarza Wilhelma II, ks August Wilhelm, staje się po przewrocie hitlerowskim zapalonym wyznawcą reżimu nacjonalsocjalistycznego. Hohenzollern zapomina o tradycjach swego domu, akceptując nowy kurs. Tempora mutantur!

POCHWAŁA RÓŻY

Ojczyzną róży jest Medja i Persja. Różane ogrody Korasanu i Kaszmiru słyną na całym Wschodzie. Do Indji róża przeszła z Arabji, wraz z Islamem. Angielski poeta Byron — z uniesieniem sławi zaczarowane ogrody Teheranu, — a zwłaszcza t. zw. „Ogród rozkoszy" Szacha Nigaristan. Mówi o nim, jak o ziemskim raju: „Zaledwie wszedłem — zdumiał mnie widok — gaju drzew różanych, wysokich, wiotkich... o gałęziach całych pokrytych tysiącznymi kwiatami — we wszystkich stadjach rozkwitu, — stojących w obłoku różaności i czarującej woni..."

A dalej tak pisze o mieście Aserbeidżanie: „W łaźniach Tebrisu uszczknięte róże pokrywają całą posadzkę. Taka sama rozrzutność cudownego kwiatu objawia się na drogach, placach miejskich, — na każdym kroku przypominają podróżnemu, że to kraj rodzinny poety Hafisa, słowików i róż" — W istocie — słownik i róża, — z tysiącem pieśni na ich cześć, — jako motyw ulubiony, — z tysiącem warjantów, zastępują Persom całą mitologję, — tyle poematów stworzono w tym kraju na cześć tej miłosnej pary.

Poeta Hafis, nazywa miasto Sziras, tonące w gajach różanych: „plasterkiem piękności na wardze ziemi". Każdy ogród ma tam oddzielną część, zwaną „Gulistan" czyli „Ogród różany". Jest to wielka, cienista aleja, — z czarownemi ustronami, z bieżącą środkiem perlistą wodą, — po obu stronach obsadzona krzakami różanymi, — a od tych rajskich ogrodów bierze tytuł najsławniejszy poemat Hafisa.

Rola róży w Persji jest tak wielka, że nie kobietę do róży, lecz odwrotnie — różę przyrównuje się tam do kobiety. I tak: pączek róży, roztulony przez zefir, — ma być podobny: „młodej piękności, która wpół rozchylonemi ustami uśmiecha się do kochanka".

Zakochany młodzieniec — swą ulubioną nazywa pieszczotliwie: „listkiem różanym", jej lica są mu: „bukietami kwiatów", wargi jej: „różanym ogniem", z ust jej bierze: — „miód różany", jako pocałunek, — a nawet jej wysmukła kibić, jest mu: „długim oddechem wiosny z różanych grzęd".

„Różane święta" u Persów mają charakter religijny. Obchodzone są sześć razy rocznie, na pamiątkę sześciu dni stworzenia świata — a rozpoczyna je: „uroczystość Mitlay", czyli „Święto ludzi", w dobie porównania dnia z nocą. Róża gra w tych obrzędach pierwszorzędną rolę, — wraz z ze słowikiem, jako symbolem wiosny.

Istnieje też perska legenda o odkryciu prawdziwego różanego olejku, — który się różni wybitnie od znanego w starożytności sposobu uzyskiwania tegoż za pomocą destylowania płatków kwiatowych w najczystszej oliwie.

Tradycja perskiego odkrycia odnosi się do początku XVIII wieku. Wtedy to księżniczka Mirmahal, zakochana w księciu Djihanojuje, po stracie swego pierwszego małżonka, weszła w nowe śluby ze swym ukochanym.

Dzień weselny uświetniła uroczystość, wydana w ogrodach pałacowych, na kanale wypełnionym wodą różaną.

Gdy nowozaślubieni płynęli w rozkosznym nastroju złoconą łodzią po pachnącej wodzie, — Mirmahal zauważyła na jej powierzchni — szczególniejszego rodzaju pianę, — podobną do kuleczek pereł, — a wydającą najdroższy i najwonniejszy zapach. Było to odkrycie wprost bezcenne, gdyż przedtem znano na Wschodzie jedynie wodę różaną, zresztą bardzo cenioną, teraz zaś uzyskano prawdziwy olejek różany.

Wodą różaną kazał kalif Omar, — zdobywca Jerozolimy, — obmyć głazy, na których stała niegdyś świątynia Salomona, — zanim na tem miejscu wzniesiono meczet na cześć Allaha.

Tak samo postępowali chrześcijanie na Wschodzie, z ogrodem Zbawiciela.

W Egipcie róża znana była dopiero od czasów Ptolomeusza. W Assyrji i Babilonji miała znaczenie symboliczne. Na berłach satrapów umieszczano zwykle jabłko, orła albo różę. Również w grobach znajdowano srebrne monety, z wyobrażeniem róży.

Ślad jej imienia znajdujemy w najstarszych dialektach — i tak: chaldejskie: Verad, — greckie: „Rhodon", — łacińskie: „Rosa", — perskie i tureckie: „Gul", pochodzą z jednego korzenia indo-germańskiej grupy językowej, od słowa: „róść", — symbolicznie „rosnąca" — w znaczeniu mistycznem — co w średniowieczu odżyło w poezji Dantego, a dalej w tajnych symbolach Różokrzyżowców i Wolnomularzy.

Droga róży z Azji do Grecji wiodła przez Armenję, Afrykę, Francję i Macedonję.

Tymczasem z dzikiej róży — zdołano wyhodować pełną... Pełnię piękności! Znowu należała ona do cudów iście baśniowych Wschodu. Tylko władcy i wielcy tego świata mogli rozkoszować się jej urokiem i uzyskaną wspaniałością.

U Homera róża oznacza coś zachwycającego i najkosztowniejszego, — zapach płynący z odległej dali. U wczesnych liryków greckich wspominane są bukiety i wieńce różane. — W hymnie do Demeter, towarzyszki Persephony noszą imiona: „Rhodeia" i „Rhodope". Inne imiona z tegoż źródłosłowu wzięte, — to: „Rhode", „Rhodante", „Rhotogyne".

Pieśniarka Sapho, a potem Anakreont — wielbią jej piękno w poezji. Ostatni wprowadza w modę prawdziwy kult tego kwiatu, — w swej: „Pochwale róży".

„Różanopalcą jest Eos,
Różanoramienne są Nimfy,
Różaną Afrodyta sama..."

Kult tej bogini, — łączący różę z czarami miłości, — idzie z Azji, — a w Syrji związany jest z czcią Adonisa, — z którego krwi miały wykwitnąć pierwsze róże, odtąd poświęcone Afrodycie, Erosowi, Muzom i Gracjom... Wedle innego mitu, — Dyonisos wracający z Indji do Grecji — pierwszy miał przynieść do niej róże.

Z greckimi kolonistami — róża wcześnie przedostała się do Rzymu — i tu wnet upodobanie w różach — przeszło w przesadę i szalony zbytek. Całemi okrętami sprowadzano z Egiptu ładunki róż. Kochankowie spoczywali na różanych łożach, — stoły biesiadne zasypywane były jej kwiatami, a z ruchomego pułapu sali spadał deszcz z wody różanej.

Neron przy ucztach — opadającemi różami dusił biesiadników, — Heljogabal różaną wodą kazał napełnić sadzawkę do kąpieli.

Zimą sprowadzano ją specjalnie z Hiszpanji lub z Indyj, albo naśladowano ze złota lub rogu.

U Germanów dzika róża wyprzedziła szlachetną różę Rzymian — i w odległych czasach wiąże się silnie z ich pogańską przeszłością. Według wierzeń germańskich krzew dzikiej róży zarasta bujnie miejsca ofiar i święte gaje, — broniąc je ciernistym ostrokołem od dzikich zwierząt i natrętów.

Polna róża o pięciu płatkach występuje w najdawniejszych godłach i znakach rycerskich. W mitologji skandynawskiej złośliwy Zoki, zabija Baldura, boga światła — kolcem dzikiej róży.

Żarzenie się lodowców w Alpach, przypisywane jest zjawianiu się na nich zaczarowanych ogrodów różanych. — W pieśni ludowej, chłopiec zaprasza ukochaną dziewczynę „między róże", a złamana róża jest symbolem wszelkiej słodyczy i łaski miłosnej.

Najpiękniejszym jednak wyrazem kultu Germanów dla kwiatu róży – jest znana baśń: „O królewnie, śpiącej wśród róż". — Nieśmiertelny ów symbol zwycięstwa wiosny i miłości, — nad zimą, — stał się oddawna ogólno-ludzkim motywem.

W dawnej Słowiańszczyźnie nie było specjalnej tradycji kultu róży. Jedynie Krasopani, bogini miłości u Morawian, — przedstawioną była w wieńcu z czerwonych róż na głowie, — z ust jej wykwitał nawpół rozchylony pączek róży, — lewy bok miała otwarty, by można było przejrzeć jej czyste serce, nawprost którego stała w świątnicy gorejąca pochodnia.

W Polsce róża oddawna była poświęcona Dziewicy Marji, której wizerunki wieńczono różami, — a różańce z paciorków toczonych z wonnego drzewa, — wyrażały symbolicznie girlandy mistycznych róż, wiązane z modlitw i strzelistych westchnień.

Zresztą róża należała u nas zawsze do najulubieńszych kwiatów. Zygmunt August i Stanisław Leszczyński — kochali się wprost w różach, — a wspaniała odmiana: żółta róża z Nancy, nazwana nawet została imieniem tego ostatniego.

Co zaś do ogrodów naszych dworów i dworków — nie brakło tam nigdy specjalnej kwatery dla hodowli tego czarującego kwiatu, zwanej „Różanecznikiem", — na wzór perskich: „Gulistanów".

W Alzacji młode dziewczęta śpiewają do dziś wdzięczną piosenkę — w trakcie tradycyjnego obchodu ludowego: dorocznego wyboru: „Królowej maju", która nosi tam nazwę: „Majowej różyczki":

Majowa różyczko! obróć się trzy razy —
Spójrz tu i tam!
Majowa różyczko! chcemy być weseli
I wkroczyć wraz z tobą...
W kraj róż!"

Mowa tu zapewne o róży dzikiej, która tam, — w cieplejszym klimacie, rychlej zakwita.

U nas właściwą porą rozkwitu róży jest czerwiec, ale utrzymuje się ona w swej krasie do jesieni.

Ewa Łuskina.



Fot. Edward Hartwig, Lublin

O RÓŻO...

Świat się szamoce,
drży, szaleje, płonie —
o różo, serce moje ocień
drobną pociechą swej woni

W tobie jest tyle dziś: wspomnienie,
pamiątka warg kradzionych,
słodycz wieczorna cichej ziemi,
zwiewnej melodji zabłąkane tony.

Uśmiech słoneczny, srebrna przestrzeń,
daleki wiatr
i na tym wietrze
rozkołysany, wolny kwiat.

Świat rzuca przekleństw wir jak hasło,
dudni obłędu wściekłe echo —
o różo, serce moje zasłoń
drobną swej woni pociechą...

WITOLD ZECHENTER

BALONY BRONIĄ MIAST...

Minęły już czasy, kiedy obawa nalotu nieprzyjacielskiego budziła taką grozę, że poprostu paraliżowała wszelką obronę. Dzisiaj górę bierze świadomość, że nawet przeciw najpotężniejszemu orężowi zaczepnemu istnieje conajmniej równie silna obrona. Ta stara zresztą zasada słuszna jest także w zastosowaniu do ataków lotniczych. Obrona przeciwlotnicza może być dzisiaj tak skuteczna, że niepomiernie pogorszyły się szanse strony atakującej, oczywiście pod warunkiem, że korzysta się z możliwości obrony zarówno biernej jak i czynnej.

Jeśli chodzi o bierną obronę przeciwlotniczą, to ma ona na celu zmniejszenie ilości ofiar wśród ludności cywilnej i zależy w znacznej mierze od przygotowania i zachowanie się jej. — Schrony przeciwgazowe, maski, odpowiednio zorganizowana służba przeciwpożarnicza i ratunkowa — to najważniejsze czynniki obrony biernej. Czynna obrona polega na odwecie na nieprzyjacielu; zmierza ona do uniezkodliwienia przeciwnika za pomocą samolotów pościgowych i artylerji przeciwlotniczej. One to będą miały główne zadanie obronne podczas przyszłej rozprawy. Te latające twierdze mogą z każdego miasta uczynić bastjon nie do zdobycia dla lotnictwa nieprzyjacielskiego.

Obok jednak tej dynamicznej obrony istnieje jeszcze dział obrony czynnej, t. zw. statyczny. Są to nowoczesne „mury" obronne, tem różniące się od zwykłych murów z kamienia, że unoszą się w powietrzu i porażają każdy samolot nieprzyjacielski, któryby się odważył je naruszyć. Te „mury przeciwlotnicze" — to poprostu balony na uwięzi. Takie barykady balonowe mają służyć do obrony wielkich stolic państw zachodnio-europejskich przed atakami lotniczymi.

W Paryżu przygotowuje się 250 takich balonów, w Londynie 600. Balony te mają być umieszczone blisko siebie w powietrzu i stanowić zaporę, poza którą nie przedostanie się żaden samolot nieprzyjacielski. Myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że same balony stanowią jądro owego systemu obronnego, albo też, że będą one pełnić funkcje straży powietrznej o zadaniach głównie alarmowych... Rzecz ma się zgoła inaczej. Balony te będą zupełnie pozbawione gondoli. Zadaniem tych balonów — to dźwiganie systemu potężnych lin, zwisających i łączących balon z ziemią. W istocie więc nie balony, lecz owe liny stanowią przeszkodę dla samolotów. Balony unosić się będą na wysokości 7.000 do 10.000 m. W niektórych wypadkach balony będą sięgały jeszcze wyżej, w ten sposób, że nad jednym balonem będzie się unosił drugi, przywiązany zapomocą lin do dolnego balonu. Balony napełnione będą wodorem, najlepiej nadającym się do tego celu, gdyż jest to najlżejszy z gazów.

Zastosowanie balonów dla celów wojskowych datuje się od roku 1794, kiedy to po raz pierwszy balon na uwięzi unosił się nad polem bitwy pod Fleurus. Było to zaledwie w jedenaście lat po pierwszym wzlocie braci Montgolfier. Wojska rewolucji francuskiej korzystały wiele razy z balonów. A Napoleon, ten genjusz wojskowy, jakoś nie dojrzał i nie zrozumiał ich znaczenia, podobnie jak zbagatelizował wynalazek Fultona. Dopiero podczas wojny francusko-pruskiej w r. 1871 oblężony Paryż korzystał z balonów, a Moltke zamówił nawet u Kruppa specjalne działa przeciw tym balonom.



Obrona przeciwlotnicza w Anglji opiera się przedewszystkiem na „zaporach balonowych", uniemożliwiających atak samolotów, gdyż samolot chcący atakować miasto musiałby zaplątać się w druty, rozciągnięte na wielkiej wysokości przy pomocy balonów.

Podczas wojny światowej (w 1914—1918) używano balonów wolnych i balonów na uwięzi dla różnych celów. Wtedy to poczyniono postępy w ich budowie. Szczególnie wsławił się inżynier Caquot, który skonstruował zawierający w swem wnętrzu drugi balonik. Skoro pewnego razu balon taki spadł poza linjami niemieckiemi — Niemcy skwapliwie go skopjowali. W r. 1917 w pobliżu frontu na południe od Nancy znajdowały się ważne fabryki metalurgiczne. Fabryki te często niepokoiły samoloty niemieckie. Aż wreszcie Francuzi wpadli na pomysł zastosowania ochrony w postaci balonów na uwięzi, wówczas naloty nieprzyjacielskie natychmiast ustały. To samo zdarzyło się pod Dunkierką. Paryż otoczony był w późniejszych latach wojny barjerą z balonów. Najwięcej nalotów wykonano na Paryż z tej strony, gdzie istniała luka w barjerze. Prawdopodobnie Niemcy przez szpiegów dowiadywali się, w którem miejscu droga jest wolna.

Od czasu wojny światowej poczyniono oczywiście dalsze postępy w tej dziedzinie. Balony przeznaczone do obrony przeciwlotniczej są teraz zupełnie niepodobne do balonów wolnych, używanych do wzlotów stratosferycznych lub do zawodów n. p. w konkursie Gordon-Benneta. Balon stratosferyczny napełnia się przed startem tylko częściowo gazem (wodorem lub helem): mniejwięcej około połowy balonu. Wystarczy to, aby balon się wzniósł. W miarę lotu w górę, powietrze dookoła balonu staje się rzadsze, a zatem jego ciśnienie się zmniejsza. Prężność gazu zawartego w balonie wystarcza do coraz większego napełnienia balonu. Balon stratosferyczny, który blisko ziemi jest zmięty i pofałdowany, otrzymuje kształty coraz pełniejsze i bardziej naprężone — im wyżej

się wznosi. Może on wznieść się tak wysoko, aż powłoka balonu przestanie wytrzymywać już przewagę ciśnienia gazu, znajdującego się wewnątrz balonu nad coraz mniejszem ciśnieniem powietrza z zewnątrz balonu.

Im wyżej bowiem — różnica ciśnienia zewnętrznego i wewnętrznego coraz bardziej się zwiększa. Gdy balon stratosferyczny ma opaść ku ziemi — trzeba wypuścić pewną ilość gazu z powłoki, aby parcie w górę się zmniejszyło. Gdy balon ma wylądować, wypuszcza się wszystek gaz. Podobnie ma się rzecz z balonami wolnymi, używanymi na konkursie Gordon-Benneta. W tym wypadku przed startem balon musi być napełniony niemal całkowicie. Manewrowanie pilotów polega przeważnie na zrzucaniu balastu, gdy balon ma się wznosić, a na wypuszczaniu gazu, gdy ma opaść.

Zupełnie inaczej wygląda rzecz przy balonach na uwięzi, używanych do obrony przeciwlotniczej. Tu niema ani gondoli, ani pilotów, ani balastu. Niema mowy, by dla ściągnięcia balonu na dół wypuszczano drogocenny gaz, gdyż balon musi służyć na długi okres czasu. Dla obniżenia wysokości wzniesienia balonu ściąga się go poprostu za linę, zwisającą z niego, i to przy pomocy kołowrotu. Obracając korbą kołowrotu ręcznie lub mechanicznie nawija lub odwija się linę balonu, a temsamem balon się obniża lub wznosi.

W odróżnieniu od balonów wolnych, stratosferycznych lub konkursowych balony na uwięzi są bardziej narażone na działanie wiatru. Balony wolne nie ulegają żadnym wstrząsom, gdy szybkość wiatru jest jednostajna, choćby była bardzo duża; wiatr je poprostu unosi. Co innego balon na uwięzi. Tu nawet stały wiatr może spowodować wstrząsy i sfałdowania, groźne dla całości balonu. Dlatego też kształt takiego balonu musi być odpowiednio przemyślany.

Według Piotra Devaux do obrony przeciwlotniczej nadają się balony o kształcie cygara i zaopatrzone w skrzydła sterujące, umieszczone na końcu balonu. Przekrój poprzeczny takiego balonu nie jest okrągły, lecz ma kształt sześcioboku, przyczem nazewnątrz każdego boku znajdują się półkoliste zgrubienia, jakgdyby poduszki. A zatem powłoka z zewnątrz nie jest okrągła, posiada rowki i wzniesienia, podobnie jak t. zw. pikowane poduszki. Ten kształt balon zachowuje stale, dzięki temu, że wewnątrz balonu, w miejscach, odpowiadających bokom tego sześcioboku, znajdują się poprzeczne linki z niezwykle elastycznej gumy, powodujące właśnie powstawanie owych poduszek w powłoce balonu. Linki te znajdują się dość gęsto obok siebie wewnątrz balonu. Dzięki ich elastyczności powłoka balonu, bez względu na ilość gazu będzie miała stale ten sam kształt. Ponadto linki te zapobiegają w znacznej mierze niebezpieczeństwu eksplozji, zwiększając niezwykle wytrzymałość powłoki na rozsadzenie od wewnątrz. Podobnie poprzeczki, wbudowane w parowy kocioł zwiększają wytrzymałość ścian tego kotła.

Sama powłoka sporządzona jest z dwóch warstw najlepszego jedwabiu balonowego, naturalnego, zlepionego gumą. Ten kształt powłoki okazał się, podobno, najodpowiedniejszy dla balonów przeciwlotniczych.

Warto teraz pokrótce dowiedzieć się, w jaki sposób liny zwisające z takich balonów unieszkodliwiają samoloty nieprzyjacielskie. Liny te są zrobione z niezmiernie elastycznego materjału, najczęściej stalowe. Ta elastyczność lin jest najgroźniejsza dla samolotu. Gdy bowiem samolot natrafi na taką przeszkodę — poddaje się mu dzięki swej elastyczności. Płaty samolotu napinają linę, ale lina się nie przerywa. Jej wytrzymałość na rozerwanie wynosi bowiem około 400 kg na mm kwadratowy. Przy użyciu liny trójżyłowej o grubości 3 mm samolot musiałby rozwinąć dodatkową siłę 1200 kg, żeby taką linę przerwać. Samolot, pędzący z szybkością około 220 km/godz., musiałby w tym celu mieć do dyspozycji dodatkową moc ok. 1500 KM. Jest to praktycznie biorąc, niemożliwe.

Jakiż będzie skutek spotkania samolotu ze zwisającą liną? — Lina niczem piła taśmowa przetnie płaty samolotu, a w najlepszym razie samolot straci szybkość i wpadnie w korkociąg. Lina, spełniwszy swoje zadanie, wróci z powrotem do swego pierwotnego położenia i może dalej funkcjonować.

Czyżby jednak samoloty nieprzyjacielskie nie mogły zwalczyć tej zapory? Teoretycznie istnieje kilka możliwości. Samo odnalezienie sieci balonów w nocy dla ostrzeliwania ich na tej wysokości uważane jest za niesłychanie ryzykowne i nieprawdopodobne. O przelocie nad taką barjerą, sięgającą 7000 do 10000 metrów przez samoloty bombowe ciężkie, niema również co mówić. Samoloty nieprzyjacielskie mogłyby jednak być zaopatrzone w specjelne nożyce, lub piły, mające za zadanie przecinanie linek napotkanych podczas lotu. Inni proponowali, by samoloty miały przednią krawędź płatów (t. zw. krawędź natarcia) nieco grubszą, wówczas płaty mogłyby stawiać większy opór. Jeszcze inna możliwość — to nalot samolotów, lecących jeden za drugim, czyli „gęsiego", z tem, że pierwsze samoloty się poświęca, aby następne mogły się przedostać przez powstały otwór.

Ale wszystkie te możliwości zniszczenia barjery balonowej uważane są za teoretyczne. Nowoczesne samoloty bombowe nie mogą zabrać jeszcze większych ciężarów, aniżeli już mają na sobie. Każde dodatkowe obciążenie w postaci pił, nożyc, itd. byłoby już nadmierne. O pogrubieniu krawędzi płatów też mowy być nie może, już ze względów aerodynamicznych, gdyż każdy centymetr gra tutaj rolę i od właściwego profilu zależy statyczność samolotu. Co się zaś tyczy lotu „gęsiego" — uważa się za mało prawdopodobne, aby w nocy lecące za sobą samoloty mogły lecieć w jednej linji i trafiły w otwór, wytworzony przez samoloty pierwsze. Już różnica metra gra tu dużą rolę i może być niebezpieczna.

Trzeba jednak przyznać, że takie barjery z balonów mogą być niebezpieczne także dla własnego lotnictwa, chociaż w tym wypadku znajomość rozmieszczenia zapór stanowi bezsprzecznie wielkie ułatwienie.

„Mury" z balonów są więc ważną częścią systemu obrony przeciwlotniczej i napewno w przyszłej wojnie będą miały niemałe zastosowanie, szczególnie do obrony większych miast oraz ważnych objektów wojskowych i przemysłowych. Czasem wystarczy jeden lub kilka takich balonów dla ochrony, zwłaszcza że to nie jest przecież jedyny środek przeciw nalotowi. Artylerja przeciwlotnicza i własne lotnictwo będą miały też coś do powiedzenia.

Inż. A.



Jedno z najnowszych polskich dział przeciwlotniczych na pozycji.

W kole: „Balony zaporowe" wylatują z hangaru celem udania się na pozycję.









Od lewej: Pielgrzymi dochodzą w połowie „lisiej ścieżki" do najtrudniejszego miejsca spinaczki. — Oto jeden z nich traci równowagę i zlatuje w przepaść. — Ten sam los spotyka potem i jego towarzysza.

Allah Akbar!

WSZYSTKO JEST W RĘKU PROROKA.

Świat muzułmański który na równi z narodami europejskimi żywo odczuwa zbliżające się coraz bardziej niebezpieczeństwo ogólnego. zbrojnego konfliktu, odznacza się psychiką zgoła odmienną od naszej, bardzo podatną nastrojom rezygnacji i fatalizmu, objawiającego się silnie w religijnych wierzeniach. Nic więc dziwnego, że w chwilach, którym towarzyszy uczucie niepewności jutra, wierzenia te nabierają na sile i przybierają formy krańcowej egzaltacji.

* * *

Rokrocznie, wokół meczetu Sidi-Bou-Elel w południowym Tunisie gromadzą się wierni muzułmanie, by po odprawieniu modłów asystować w oryginalnym obrządku. Polega on na przebyciu stromej ściany skalnej. t. zw. „lisią ścieżką" w górę, na szczyt iglicy, u podnóża której położony jest meczet i jego przedpole. Fanatycy, wierzący że po przejściu „lisiej ścieżki" dostąpią oczyszczenia z grzechów i przyjęcia do raju Allaha, mają do pokonania trudności, przed jakiemi staje turysta podczas najbardziej niebezpiecznej spinaczki wysokogórskiej. Przejście przez „lisią ścieżkę" odbywa się bez lin i w zwykłem ubraniu, a więc w burnusie, co rzecz prosta jeszcze bardziej utrudnia zadanie, już samo przez się ogromnie ryzykowne. Toteż rzadko kiedy udaje się śmiałkowi dotrzeć na szczyt iglicy. Niemal zawsze odpada on od skały w najbardziej eksponowanem miejscu trasy, zwanem „Okiem Proroka" i ginie runąwszy w przepaść Jednemu z reporterów fotograficznych udało się dokonać zdjęć tej „religijnej spinaczki", które obok zamieszczamy jako dokument mentalności Wschodu.

J. L.

ZDJĘCIA: C. ANDERS — PARYŻ.



W kole: Obozowisko pielgrzymów rozłożone wokół meczetu Sidi-Bou-Elul.



Meczet Sidi-Bou-Elul znajduje się w pobliżu urwiska skalnego, na szczyt którego wspinają się pielgrzymi t. zw. „lisią ścieżką".

Wesoła podróż po Europie



Kto wybiera się po raz pierwszy do jakiegoś obcego kraju, nabywa przewodnik po tymże kraju. Gdyby nawet chciał o tym obowiązku zapomnieć, przypomną mu znajomi.

— Jadę do Anglji — mówi świeżo upieczony turysta.

— A Baedeckera już masz? — pytają zaraz znajomi, krewni i powinowaci.

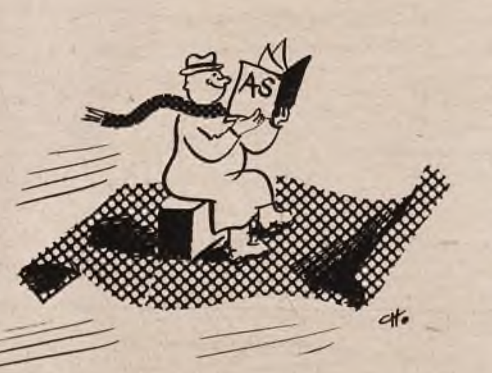
Jeśli turysta już ma Baedeckera, odpowiada niedbale:

— Przestudjowałem go dokładnie. Czy wiecie, że Londyn ma 7 miljonów mieszkańców?

Przewodniki dzielą się na „starsze", przedwojenne, które księgarze sprzedają w czasie taniego tygodnia po 30 i 50 groszy za gruby tom, oraz przewodniki nowe, w cenie conajmniej pięciu złotych. Różnią się więc te przewodniki między sobą przedewszystkiem ceną, a następnie ilością mieszkańców, podaną w dziale statystycznym. Poza tem wszystkie przewodniki od początku świata są jednakowo skomponowane.

A więc najpierw dowiadujemy się o położeniu miasta, poznajemy jego historję, wyliczają nam najważniejsze budynki, opisują „urocze okolice", radzą, co warto obejrzeć i na co zwrócić uwagę w muzeach. Potem jest mowa o operze, teatrach, kabaretach i najgłośniejszych restauracjach i kawiarniach. Wylicza się kilkanaście hoteli, potem jeszcze jest mowa o pomnikach i mostach.







I koniec.

A przepraszam! Jest jeszcze słowniczek najważniejszych zwrotów w danym języku.

Naprzykład:

— Przepraszam pana, panie, która jest teraz godzina?

— Jest teraz proszę pana, panie, godzina szósta i minut czterdzieści dwie.

Jeżeli ktoś ma pecha, że akurat jest godzina nie szósta czterdzieści dwie, lecz np. czwarta osiemnaście — nasz turysta odrazu natrafia na poważne trudności. W restauracji turysta z przewodnikiem w ręku czuje się, jak u siebie w domu.

Może zamówić pierś perliczki, karczochy, tort hiszpański, oraz szampana. Gdyby miał głupi kaprys i chciał zamówić naprzykład sznycel, albo talerz rosołu — musiałby się obejść smakiem, gdyż takich ordynarnych potraw w podręcznym samouczku nie wymienia się nigdy!

Bo i poco?

Kto chce podróżować po świecie, musi mieć dużo pieniędzy. A skoro ma dużo pieniędzy, to stać go na karczochy i bażanta, a nie na głupi rosół i kotlet.

Nauka obcych języków jest żmudna i pełna niespodzianek. A poza tem trudno władać wszystkimi językami. Więc przyjmuje się, jako zasadę, że wszędzie można się jakoś porozumieć, jeśli się zna język francuski, albo niemiecki.

Tak się jednak fatalnie składa, że ktoś, kto mówi po niemiecku, trafia stale na tubylców, mówiących po francusku — i naodwrót. Stąd tysiące nieporozumień, których nie usunie żaden przewodnik.

— Czy żaden?

Otóż my pragniemy dać Czytelnikom przewodnik jedyny w swoim rodzaju, przewodnik po Europie — zwięzły, żywy, a dokładny!

Nie będziemy wymieniać wszystkich co lepszych obrazów w muzeach, oraz określać z dokładnością do 1 cm długość mostów.

Nie będziemy zaprzątać głowy Czytelnikom nazwiskami mężów, zasłużonych dla rozwoju miasta.

Nie będziemy reklamować hoteli, ani restauracyj!

Ba — nie będziemy nawet bawić się w drobiazgową analizę poszczególnych miast!

Chcemy natomiast, aby Czytelnik otrzymał przekrój życia danego kraju oraz syntetyczną charakterystykę jego mieszkańców.

By poznał duszę ludzi, których chce odwiedzić.

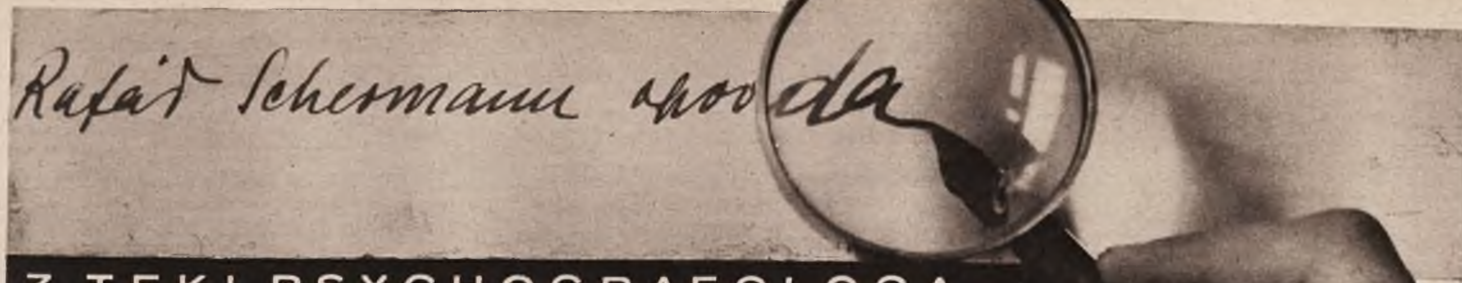
Damy Czytelnikom, przyszłym turystom, wspaniały sposób porozumiewania się z cudzoziemcami, bez użycia samouczka i podręcznego słowniczka najpotrzebniejszych zwrotów.

Udzielimy rady, jak zachować się w tym czy owym kraju: w restauracji, na dancingu, czy na przechadzce.

Kilkunastu słowy nakreślimy barwniejszy i trafniejszy obraz zagranicznego miasta, niż to potrafią uczynić rozmaici Baedeckerowie na stu stronicach swych przewodników.

W przyszłym numerze rozpoczynamy druk tego dzieła, niezmiernie aktualnego teraz, w okresie przedwakacyjnym, gdy zaczynamy się zastanawiać, dokąd wyjechać?

Poszczególne kraje omawiać będziemy mniej więcej alfabetycznie. Na pierwszy ogień pójdzie Anglja — ojczyzna człowieka z parasolem, który tym instrumentem pokoju pragnie osłonić cały świat. Niniejszem udzielamy gwarancji Anglji — że nasz przewodnik po tym pięknym kraju, pióra prof. Pigeon'a, będzie najbardziej wartościowy ze wszystkich dotychczas wydanych.





Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

— Czybyś nie chciała napisać kilka słów panu Schermannowi, aby mógł ocenić twoje pismo? Może powie nam coś ciekawego!

Córka zgodziła się chętnie na propozycję i nakreśliła następujące słowa:

„Nie mam żadnego zawodu. Czy mam wyjść zamąż?".

Przyglądałem się temu pismu z pewnem współczuciem, gdyż nie spotkałem dotychczas żadnego, któreby wykazywało taką niezwykłą pustkę duszy jego autora. W piśmie odzwierciedlały się wprawdzie niektóre zalety, ale przysypane były niejako niezwykłą powierzchownością, która powodowała, że wszystkie lepsze uczucia musiały zaniknąć.

Po zbadaniu pisma oświadczyłem obu paniom:

— Jest pani tak zajętą swoją osobą, swoimi strojami i drobnemi sprawami, że nie pozostaje już pani ani trochę czasu, aby skoncentrować swoje myśli na czemś poważniejszem. Cóż z tego wypływa? Mężczyźni o pewnej wartości intelektualnej trzymają się od pani zdala, gdyż przeczuwają właśnie tę pustkę duchową. Inni natomiast z typu hochsztaplerów imponują pani i czuje pani dla nich sporo zachwytu. I jak to już bywa w sprawach sercowych — miłość budzi takież uczucie u drugiej strony. W swej wyobraźni tak się pani przyzwyczaiła do tego typu ludzi, że nie wyobraża sobie małżeństwa z człowiekiem innego pokroju. Niech pani wybaczy, ale muszę przyznać, że pani poprostu „leci" na hochsztaplerów!

Słowa moje przerwała matka dosyć gwałtownym wylewem szczerości:

— Ma pan zupełną rację. Od tylu lat córka przysparza mi niezwykłych kłopotów. Mając lat 17 mogła wyjść zamąż za poważnego, bogatego człowieka, ale nawet na niego nie spojrzała.

Po uspokojeniu się matki — ciągnąłem dalej moją ekspertyzę:

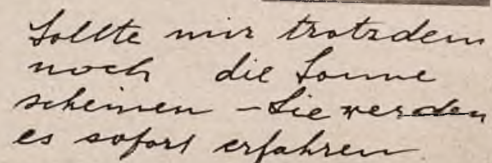
— Pomimo różnych sukcesów, jakie pani odnosi w swem towarzystwie, cierpi pani na poczucie niższości. Jest pani opanowana przez rodzaj „idée fixe", że nie ma dla pani szczęścia, dlatego też gustuje pani najwięcej w niezwykle powierzchownem i mało ciekawem otoczeniu. Powinna się pani zupełnie inaczej ustosunkować do życia i starać się szukać dobra tam, gdzie ono jest. Nadaje się pani daleko więcej do towarzystwa ludzi inteligentnych, niż się pani zdaje, to też powinna pani szukać w takich kołach znajomości, a wtedy zupełnie nowe uczucie zadowolenia opanuje panią, uczucie, jakiego pani jeszcze nie zaznała.

Młoda osoba spojrzała na mnie niedowierzająco i zapytała:

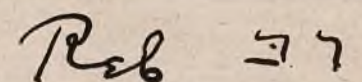
— Czy pan przypuszcza, że mogę odegrać rolę w życiu człowieka wartościowego?

Odpowiedziałem:

— Jestem o tem przekonany, gdyż widzę, że drzemią w pani dobre pierwiastki, które jednak wzbudzić i ożywić może tylko człowiek mądry. Niech pani mi zawierzy i pójdzie za moją radą.



Fragment pisma wiedeńskiej nauczycielki.



Słowo „reb" napisane alfabetem hebrajskim przez Anglika z Palestyny.



Tel-Aviv jest zupełnie nowoczesnem miastem, przypominającem swą architekturą i rozkładem ulic Europę.

Zdaje się, że moje słowa wywarły na niej pewne wrażenie, gdyż na pożegnanie skreśliła następujące słowa:

„Od dziś dnia nie będę więcej wmawiała w siebie, że niema dla mnie szczęścia. Ma pan rację, twierdząc, że najlepiej podobają mi się hochsztaplerzy".

* * *

Dzisiejsza Palestyna, która stała się ośrodkiem świata żydowskiego na obu półkulach, zajmuje w Azji zupełnie swoiste stanowisko: jest ona niejako unikatem coraz to bardziej się europeizując i stając się coraz większem przeciwieństwem otaczających ją krajów. Ciekawą jest również okoliczność, że dzięki współplemienności żydów palestyńskich z żydami europejskimi istnieje między Palestyną a Europą ciągła wymiana kulturalna, a prądy panujące w Europie odbijają się automatycznie również w Palestynie, i nieraz te same tematy bywają roztrząsane zarówno w Londynie, Paryżu, Warszawie, czy Rzymie, jak równocześnie w Tel-Avivie.

Pewnego razu odwiedziła mnie w Berlinie jedna wybitna autorka, Żydówka, która położyła duże zasługi w zakresie wychowania dziewcząt. Nazwisko moje nie było jej obcem: zaznaczyła na wstępie, że nieraz słyszała o moich pracach w sferach palestyńskiej inteligencji. Przybyła ona oczywiście z pewnemi bolączkami: nie pozwoliłem jej ich szczegółowo opowiedzieć, tylko kazałem jej nakreślić kilka słów. Napisała następujące słowa: „Czy mam wyjść zamąż? Czy mam rozpocząć jakąś nową pracę?"

Spojrzałem na pismo i począłem mówić:
— Przeżyła pani ostatnio wielkie rozczarowanie, którego się pani zupełnie nie spodziewała. Pochodzi ono od pewnego mężczyzny, którego pani bardzo kocha. A potem zapytałem: — Czy mogę zobaczyć pismo tego mężczyzny?

Wyraźne zakłopotanie ogarnęło mojego gościa. Przyszła do mnie, by się czegoś dowiedzieć, o czem nie miała zupełnej pewności. Z drugiej jednak strony bała się usłyszeć całą prawdę. Wkońcu wyjęła ze swej torebki notatnik, na którego jednej kartce widniały hebrajskie litery oraz pewien list, pisany po angielsku, w którym znajdowało się również hebrajskie słowo „reb".

Na samym wstępie stwierdziłem, co niemało zdziwiło mojego gościa, że autor kartki pisanej po hebrajsku oraz listu nie jest żydem. Autorka potwierdziła moje słowa, mówiąc, że chodzi tu o pewnego Anglika, który mieszka w Palestynie i przyswoił sobie w słowie i piśmie język hebrajski. Będąc wierzącą żydówką, czuła się nieco zażenowana faktem, że tak odrazu wykryłem jej zażyłość z Anglikiem.

Następnie ciągnąłem dalej ekspertyzę pisma:
— Autor listu jest wykształconym i wartościowym człowiekiem, który wprawdzie panią bardzo kocha, ale nie może nad różnicą wiary i pochodzenia, jaka między nim a panią zachodzi, przejść do porządku dziennego. W czasie, kiedy pisał swój angielski list, starał się ukryć przed panią swoje wątpliwości, chociaż stawały się one w jego podświadomości coraz żywsze. Coraz silniej dochodził do przekonania, że będzie musiał z panią zerwać. Obecnie doszedł do ostatecznej decyzji i więcej do pani nie napisze. Pani zaś nigdy go więcej nie zobaczy. I tak, jak z pisma jego wnioskuję niezbicie, że odsuwał ostateczne zerwanie do chwili, kiedy będzie pani mogła znieść je spokojnie, tak też widząc pani pismo twierdzę, że pani moje słowa przyjmie spokojnie. Musi się pani pogodzić z tem, że straciła pani ukochanego.

Słowa moje wywarły na pani X głębokie wrażenie.
— Na szczęście rozwiązanie zagadki, która panią męczyła, nastąpiła w chwili odpowiedniej: ma pani silne nerwy i zniesie pani to lepiej, niż gdyby znajomość ta trwała dłużej, wyczerpując energję pani.

Pani X wstała z krzesła, wyprostowała się i podała mi rękę. Czułem, jak nerwy jej napinają się niczem cięciwa łuku. Na pożegnanie dałem jej następującą radę:
— Spotykając się z mężczyznami, powinna pani nieco maskować swoje wykształcenie i swoją inteligencję, gdyż mężczyźni wolą górować w tej dziedzinie nad kobietami. Wprawdzie działa pani na mężczyzn bardzo silnie, ale po pewnym czasie wycofują się oni ze znajomości z panią, gdyż poprostu zaczynają się pani bać. Jeśli uda się pani wywołać w ukochanym mężczyźnie wrażenie, że on jest stroną kierującą, zdoła go pani utrzymać nazawsze.

Spojrzała na mnie z wielką wdzięcznością w oczach i na pożegnanie napisała na kartce papieru: „Jest rzeczą niezwykłą, że zdołał pan wywnioskować z listu, w których zachodzą litery hebrajskie, że autor jego nie jest żydem. Nie rozumiem też, jakim sposobem stwierdził pan z tegoż listu, że nigdy człowieka tego więcej nie zobaczę. Sprawa się przedstawia w ten sposób, że rzeczywiście od dłuższego czasu nie dał on o sobie znać i nie napisał ani słowa. Najzupełniej zgadza się określenie pańskie, że działam silnie na mężczyzn, którzy wkrótce odemnie się oddalają. Pójdę za pańską radą i będę się starać ukrywać moją wyższość intelektualną".

Niejednego może zadziwi, że mogłem podobną radę udzielić mojej klientce, mógłby też ktoś zapytać, czy rada ta jest wogóle do wykonania. Uważam, że jest rzeczą zupełnie możliwą a nieraz wskazaną, aby się dana jednostka na korzyść drugiej zmieniła i „nastawiła" pod kątem widzenia tej drugiej osoby. Jest rzeczą stwierdzoną, że takie właśnie postępowanie stało się nieraz podstawą trwałych i szczęśliwych małżeństw.

* * *

Zależnie od charakteru człowieka objawy miłości, tego najsilniejszego uczucia człowieka, bywają najrozmaitsze. Jeżeli jeszcze dodamy do różnorodności charakterów różnorodność warunków życiowych, w jakich przyszło nam żyć, uzyskamy niezwykle bogatą skalę objawiania się miłości, która powoduje nieraz wypadki i sytuacje zgoła niezwykłe.

Będąc w Berlinie w r. 1930, zetknąłem się w lecie z zagadnieniem, którego rozwiązanie zdawałoby się dla trzeźwego obserwatora poprostu niemożliwem. Wtedy to otrzymałem list od pewnej znanej mi od lat wiedeńskiej nauczycielki śpiewu, przypominający mi tragiczne wydarzenie, które dopiero po latach miało się szczęśliwie zakończyć.

List ten brzmiał następująco:
„Muszę panu zakomunikować, że zdanie, które pan wygłosił przed siedmioma laty, a które uważałam za częściowo fałszywe, zrealizowało się obecnie w pełni. Dał mi pan wtedy radę, którą niedostatecznie wzięłam pod uwagę: zmuszona jednak okolicznościami, poszłam za pańską radą i uzyskałam nieoczekiwany sukces. Z tego też powodu dziękuję panu najserdeczniej za rady i wskazówki. J. B. Semmering. Pensionat „Sanitas".

List ten przywiódł mi na pamięć wypadki, jakie rozegrały się w r. 1923 w Wiedniu. Moja znajoma była wtedy nauczycielką śpiewu i przechodziła duże finansowe trudności, temwięcej, że spodziewała się dziecka. Pewnego razu zjawiła się u mnie i przedłożyła mi dwie próbki pisma, jedną swoją, a drugą pewnego mężczyzny. Pisma nie zdradzały pogodnych szczegółów, to też zakomunikowałem je mojej znajomej w sposób bardzo ostrożny. Nie mogła się ona wtedy oderwać uczuciowo od pewnego mężczyzny, który żył daleko od Wiednia, zapewne za oceanem. Pismo jego zdradzało, że daleko lepiej czuje się w Ameryce, jak w Wiedniu. Dalej wnioskowałem z pisma, że jest to artysta, odnoszący duże sukcesy nietylko w swoim zawodzie, ale też jako mężczyzna. Kochał ją kiedyś bardzo silnie, następnie jednak uczucie to jakby usnęło. Sądziłem, że chociażby ożenił się więcej razy, to jednak w sercu jego pozostanie wspomnienie o pierwszej miłości. Widziałem w piśmie, że w życiu tego mężczyzny grać będą role liczne kobiety, a mimo to przyjdzie chwila, kiedy miłość ta odżyje jak krzew na wiosnę.

Moja rada, którą udzieliłem mojej znajomej, brzmiała:
„Zadaniem pani jest przetrwać cierpliwie do końca, gdyż mężczyzna ten napewno do pani powróci, chociaż nie może się pani spodziewać, że będzie utrzymywać z nią stały kontakt. Mimo to powinna go pani informować o swojem życiu, gdy będzie pani w tarapatach finansowych, niech pani go poprosi o pieniądze, powinien bowiem wiedzieć, w jakiej sytuacji się pani znajduje. Otrzyma pani od niego pieniądze, ale ani słowa wiadomości o sobie. Niech pani dobrze zapamięta moje słowa i wtedy nie spotka panią żadna niespodzianka".

I właśnie po siedmiu latach otrzymałem ów list z dnia 16 lipca 1930 r., po którym nadszedł wnet drugi. Ten drugi list był właśnie potwierdzeniem moich przypuszczeń i mojej „djagnozy". Brzmiał on następująco:
„Chętnie wypełniam pańską prośbę i przypominam panu wydarzenie z przed siedmiu laty. W lecie r. 1922 powrócił z Ameryki mój najszczerszy przyjaciel, który za oceanem pracował przez 13 lat jako muzyk. Był wtedy rozwiedziony z żoną i obiecywał mi, że będzie utrzymywał mnie i moje dziecko, uważając za rzecz niesłychaną, aby jego miłość młodzieńcza musiała walczyć o byt. Posunął się tak daleko, że zaproponował mi, abym żyła przy nim jako jego siostra, gdyż, jak oświadczył, zdolny jest do opuszczenia każdy kobiety, siostra jednak zajęłaby specjalne stanowisko. Słowa jego napełniły mnie radością, a gdy 14 lipca 1922 wyjechał do Ameryki, otrzymałam od niego jeszcze dwie pocztówki z Paryża, oraz jedną z okrętu „Majestic". Od tego czasu nie napisał do mnie ani słowa. Kartki te pokazywałam panu swego czasu, gdy szukałam u Niego pociechy i rady. Scharakteryzował pan wtedy mojego przyjaciela zupełnie słusznie i stwierdził pan również trafnie, że w swej podświadomości nigdy się on ode mnie nie oddali. Gdy zauważyłam, że zawód jego jako artysty pozwala mu przebywać wśród najpiękniejszych kobiet, odparł pan, że jest to człowiek, który może się dziesięć razy ożenić, ale nigdy mnie naprawdę nie opuści, to też radził mi pan, abym do niego częściej pisywała. Niech pan mi wierzy, że wykonanie tej ostatniej wskazówki przychodziło mi bardzo trudno. W międzyczasie przyjaciel mój stał się sławnym kompozytorem operetek, zyskując również w Londynie i Paryżu stałe sukcesy. Przyjeżdża on rok rocznie do Europy, ożenił się i żyje jak wielki pan, o mnie jednak już więcej się nie zatroszczył. Zawdzięczając dziwnemu zbiegowi okoliczności, zetknęłam się w zeszłym roku z pewną panią, będącą jego daleką kuzynką. Wynająwszy u niej pokój, poznałam ją lepiej. Pewnego razu gospodyni moja wyraziła swoje zdziwienie, że mogę znosić cierpliwie tak ciężkie warunki życiowe, mając tak zamożnego przyjaciela młodości. Odparłam to co i panu, a mianowicie, że wszelkie upokorzenia są tutaj bezcelowe. Pod wpływem mojej gospodyni napisałam do niego list, podając mu mój adres. Po sześciu tygodniach otrzymałam przekaz na 500 funtów szterlingów, ale ani słowa wiadomości. Suma ta pozwoliła mi przeżyć aż do jesieni tegoż roku i zapłacić „krzyczące" długi. Odpowiedziałam mu, serdecznie dziękując i przedstawiając ciężką moją dolę w Wiedniu, nie nadmieniając jednak, że spodziewam się dalszej pomocy. Nie wiem, co dalej z tego wyniknie, w każdym razie zaczęły się spełniać pańskie przepowiednie. Ja sama jestem zupełnie zrezygnowana, gdyby jednak jeszcze miało zaświecić słońce w mojem życiu, zaraz pana o tem powiadomię. Szczerze oddana J. B.".

Wypadek ten zainteresował mnie samego: chciałbym wiedzieć, kiedy nadejdzie z Ameryki pierwszy list miłosny. Jeszcze mężczyzna ten ulega młodzieńczym porywom, z chwilą jednak gdy się uspokoi, przypomni sobie swoją pierwszą miłość, ale nie prędzej, póki nie zostawi na swej drodze życiowej wiele złamanych serc. Kobieta, którą kochał, przyjmie go mimo wszystko, kiedy będzie złamany życiem i postarzeje się. Kiedyś proponował swej przyjaciółce, że będzie dla niej bratem: może instynktownie wyczuł, że stanie się ona naprawdę jego siostrą, a w dodatku siostrą miłosierdzia.

* * *

Są na świecie ludzie, których trzeba niejako przemocą zmuszać do powzięcia decyzyj, stanowiących o ich szczęściu. List, który otrzymałem podczas podróży z odczytami, w jednem z większych miast przemysłowych Europy środkowej, przypomniał mi ten typ człowieka, zanim jednak opowiem o nim coś bliższego, wspomnę fakty, które poprzedziły daną chwilę.

Pewnego razu zjawił się u mnie młody, sympatyczny człowiek. Wszedł do pokoju nieco zażenowany i prosił mnie o radę. Zanim wyłuszczył mi swoją sprawę — poprosiłem go o próbkę pisma. Z kilku słów skreślonych przez niego wywnioskowałem, że mój klient posiada finezyjny, dobry charakter, co właśnie spowodowało, iż natrafiał w życiu na wiele przeszkód.

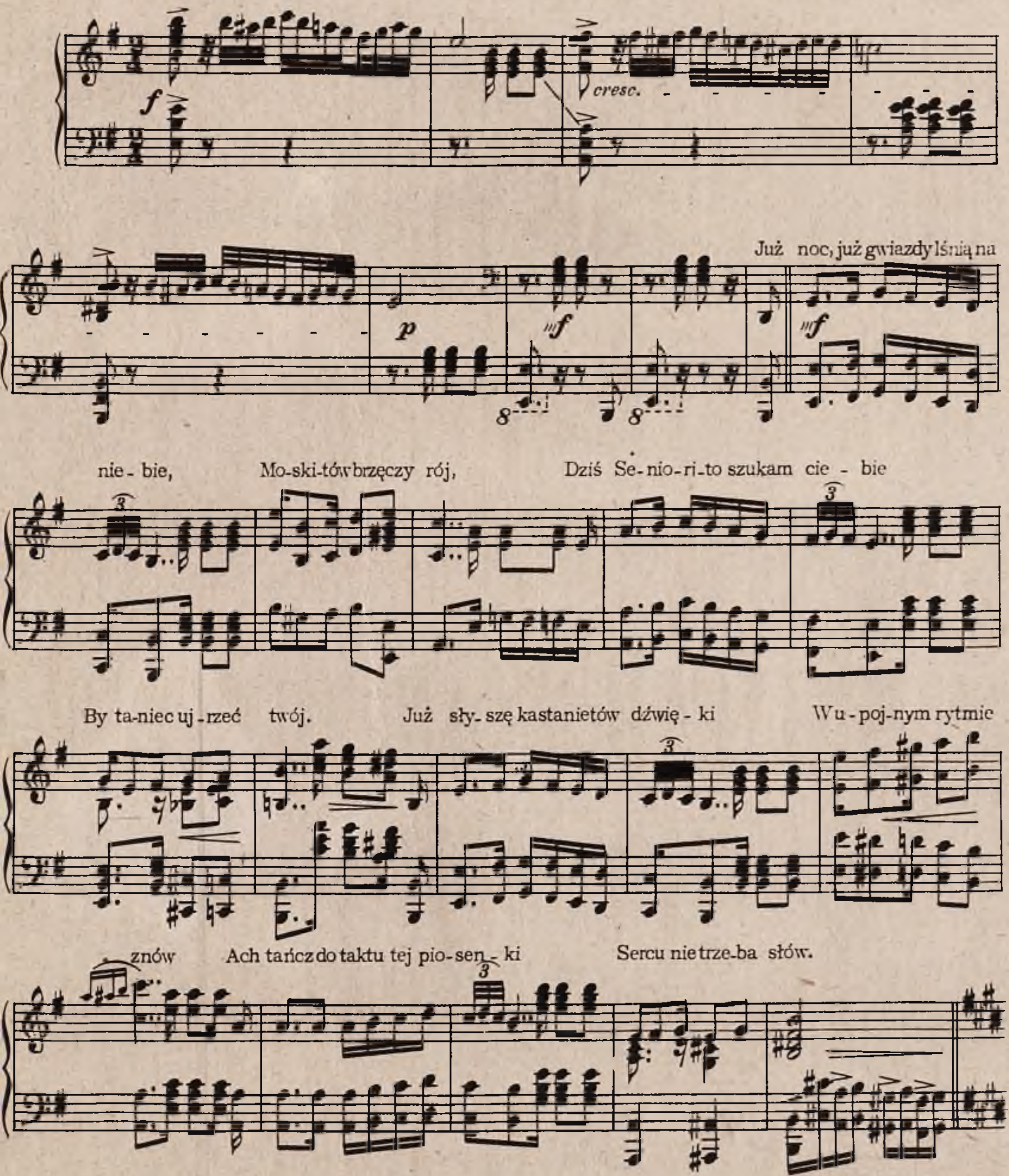
(Ciąg dalszy nastąpi).

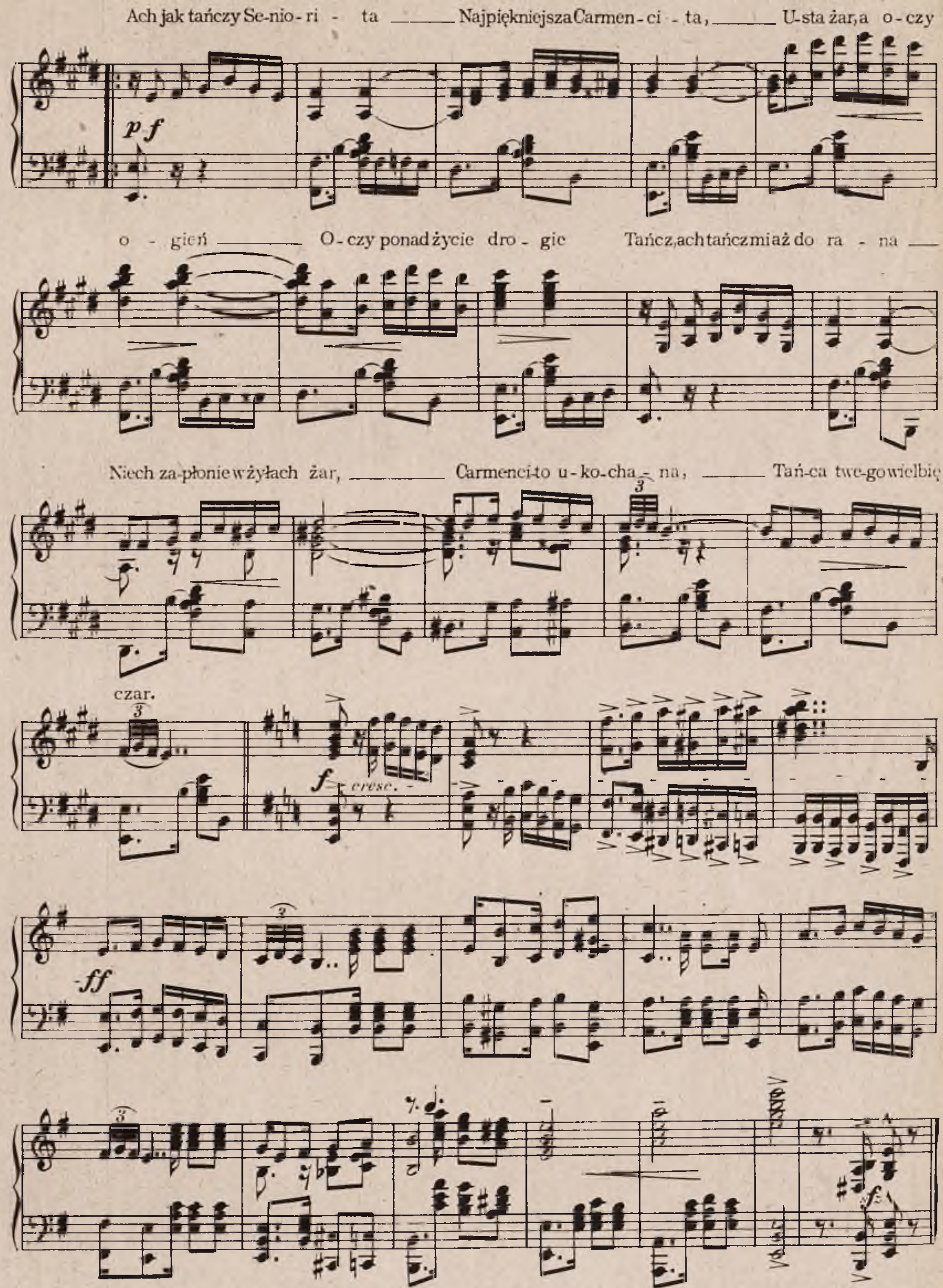


PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA".

Hiszpańskie tango

Muzyka i słowa: JANUSZ MILEWSKI





Szczęście dr. Stantona

JERZY EWARYST **N O W E L A**

W gabinecie lorda Salisbury w Londynie siedział prof. Stanley Woodham, bezmyślnie wyglądając przez okno. W palcach trzymał tlące się cygaro.

— Zdaje mi się jednak lordzie, że nie można brać na serjo pomysłów Stantona. Przecież każdy człowiek zdrowo myślący, łatwo może się przekonać o niedorzeczności jego twierdzeń.

Stworzyć jakąś teorję, nieopartą w gruncie rzeczy na niczem, a wynikłą jedynie z jego bujnej wyobraźni, to najpewniejszy dowód choroby psychicznej — mówił powoli Woodham.

— Dobrze, dobrze, Woodhamie! Dr. Stanton jednak zaznaczał, że przypuszczenia jego nie są gołosłowne, ale oparte na ścisłych badaniach egipskich papyrusów i ksiąg słynnych mędrców.

Woodham zamyślił się, a po chwili strząsając popiół z cygara powiedział:

— Wybacz, drogi lordzie, ale tego zrozumieć nie mogę. Znaleźć szczęście! Znaleźć tę szczęśliwą krainę! To przecież tylko marzenie, to bajka lub sen. Gdyby dr Stanton twierdził, że chce odnaleźć jakieś zaginione miasto lub odwieczne grobowce, skłonny byłbym przyznać mu rację i celowość poszukiwań. Skoro jednak materja jego dociekań jest abstrakcyjna, to uwierzyć w żaden sposób nie mogę. A nawet powiem coś więcej. Gdyby z podobnym projektem odnalezienia jakiejś krainy szczęścia wystąpił ten lub ów filozof, gotów byłbym uwierzyć, ale dziwi mnie gdy mówi o tem tak realistyczny umysł i to z taką pewnością. W każdym razie sądzę, że z Danielem jest coś nie w porządku.

Prof. Woodham odstawił na bok filiżankę herbaty, przysunął się z fotelem bliżej do stolika i wpatrywał się pytająco w lorda. Salisbury zaczął:

— Nie zaprzeczysz, że znam Dana od długich lat i miałem możność przekonać się jakiemi kategorjami myśli ten człowiek. Musisz pamiętać tę słynną sprawę z przedhistoryczną indyjską osadą. Przecież bodajże ja jeden stanąłem wówczas po jego stronie podczas gdy wszyscy panowie z British Museum sprzeciwiali się jego pomysłom i przypuszczeniom. A wynik? Wynik był zdumiewający! Nawet zachęceni jego odkryciami ci sami panowie, którzy tak bardzo protestowali przeciwko ekspedycji, organizowali potem osobiście cały ich szereg.

Woodham rozłożył bezradnie ręce i wzruszając ramionami rzekł:

— Zważ lordzie! Jeden, a choćby i dwadzieścia pomyślnych rezultatów nie może być gwarancją, że i dwudziesty pierwszy będzie również pomyślny. Gdyby chodziło o nowe poszukiwania, pokonałby mnie autorytet dra Stantona, ale co do jego pomysłów natury psychologicznej mam mimo wszystko wielkie wątpliwości.

Za drzwiami gabinetu dał się słyszeć przytłumiony kaszel, a potem pukanie do drzwi.

— Come in — rzekł głośno lord.

W drzwiach stanął dr Daniel Stanton. Siwe włosy były zaczesane starannie do góry; wielkie czoło znamionowało wybitną inteligencję. Orli nos i nieduże usta tworzyły z jego ściągłą twarzą doskonałą harmonję. Okulary w złotej oprawie dodawały mu powagi.

— Poobiedni odpoczynek, co? — zawołał wyciągając dłoń.

— Bardzo nam przyjemnie, że przychodzisz do nas w odwiedziny, doktorze. Wszakże brak czasu, to stała twoja choroba, Dan!

— Właśnie przyszedłem zakomunikować wam, że w niedługim czasie wyruszam już z nową ekspedycją do Egiptu. Na podstawie badań prof. Browna i wykopalisk doszliśmy do wniosku, że o sto pięćdziesiąt mil na południowy zachód od oazy Tarafra, na skraju pustyni Libijskiej powinno się znajdować miasto, zniszczone wskutek nieznanych nam bliżej kataklizmów.

Ekspedycja nasza wyruszy w dniu 17 sierpnia i składać się będzie z ośmiu osób wysuniętych przez zarząd British Museum. Mamy nadzieję, że poszukiwania nasze nie przeciągną się dłużej nad trzy miesiące. Koszta będą coprawda wielkie, ale tem niemniej poszukiwania będą niezwykłe i mogą naprowadzić nas na ślady kultury staroegipskiej. Dr Stanton długo jeszcze mówił o ekspedycji i rzeczach z nią związanych, wreszcie rozmowa zeszła na inny temat. Głos zabrał Woodham.

— Zanim przyszedłeś do nas, Danie, rozmawialiśmy z lordem o twoich rozważaniach na temat szczęścia. Lord jest nieprzekonany i nie chce uwierzyć w możliwość, że istnieje na świecie wogóle bezwzględne szczęście. Uważam, że w kwestji tej jestem mało kompetentny i dlatego zdaje mi się, że dobrzebyś zrobił, gdybyś na ten temat powiedział parę słów. Doktór spojrzał na lorda i uśmiechnął się przyjaźnie. Zamyślony gładził ręką swoje siwe włosy, wodził wzrokiem po ścianach, spoglądał na obrazy, wreszcie poprawiwszy się w fotelu zaczął:

— W naturze człowieka leży przedziwny pierwiastek dążności do szczęścia. Gdyby ludzie zebrali swoje wszystkie siły i cały swój olbrzymi zapas energji, wyładowali w kierunku zdobycia szczęścia, dawnoby je już osiągnęli. Ale jedynie na tem właśnie polega trudność, że do dziś dnia wyraz szczęście jest dla wielu czczą zgłoską, pustym frazesem a w najlepszym wypadku abstrakcją. Gdybyśmy potrafili to pojęcie szczęścia skonkretyzować, gdybyśmy potrafili odgadnąć na czem ono polega, wtedy z całą pewnością udałoby się nam je osiągnąć.

Obserwując świat dziwię się, że tyle ludzi dąży do szczęścia, a każdy innemi drogami i szczęście to maluje sobie inaczej. Nieprawdą jest jakoby szczęście było równoznaczne z bogactwem i sławą, nieprawdą jest, że szczęście to możność zaspokojenia wszystkich swoich zachcianek, ale właśnie szczęście na tem polega, co może dać niczem nie zakłócony spokój ducha w połączeniu z bezgraniczną miłością. Nie będę w błędzie jeżeli powiem, że to co myśmy zwykli nazywać miłością, to znaczy wzajemne uczucie ludzi do siebie, jest niczem innem, jak tylko wykwitem obopólnego egoizmu. Miłość taka jest interesowna. Miłość taka daje każdej ze stron zaspokojenie jej pożądań estetycznych, daje podnietę ducha i ciała i to właśnie staje się podstawą jej istnienia. Poprostu kochając kogoś ma się zadowolenie, utrzymuje spokój ducha i łudzi się miłością wzajemną. Jednakże powiem wam panowie, że miłość wtedy jest tylko miłością i wtedy tylko może dać człowiekowi prawdziwe szczęście, jeżeli miłość ta jest wieczna i nieśmiertelna. I dlatego żyjąc w XX wieku, kiedy materjalizm stał się naszą drugą naturą, a wszelkie ideały pozostają mrzonkami poetyckiemi, coraz bardziej ludzie stają się nieszczęśliwi, coraz bardziej odchodzą od prawdy. Cały tragizm na tem polega, że idziemy z duchem czasu; a natura, która tkwi w każdym człowieku od niepamiętnych czasów jego stworzenia, aż po dzień dzisiejszy nie daje się w żaden sposób przełamać, czy przeinaczyć i dlatego powstaje olbrzymi dysonans, najstraszniejsza z chorób, choroba duszy. — Lord Salisbury siedział

zasłuchany oparty o poręcz fotela z odchyloną w tył głową. Kiedy Stanton skończył mówić, zapanowała w gabinecie cisza, przerwana w końcu przez dzwonek telefonu.

— Hallo! Czy lord Salisbury?

— Yes — brzmiała odpowiedź.

— Zdaje mi się, że zastałem u pana dra Stantona.

Lord zwrócił się w stronę doktora i wskazując lewą ręką telefon, prawą podał mu słuchawkę. Jako wynik rozmowy doktór wkrótce opuścił mieszkanie lorda.

* * *

W dniu 18 sierpnia dzienniki londyńskie z Timesem na czele rozpisywały się o wyruszeniu ekspedycji dra Stantona do Egiptu celem odnalezienia szczątków starożytnego miasta.

* * *

Podróż trwała tydzień. Podróżnicy spędzali czas na rozrywkach, podczas gdy doktór przesiadywał w swojej kajucie zatopiony w dociekaniach i badaniach archeologicznych.

Pewnego wieczora Stanton wchodząc do swej kajuty ujrzał w niej stojącego wysokiego mężczyzny.

— Kto pan jest?

— Doktorze, chcesz wedrzeć się tam, gdzie wieki się jeszcze nie wdarły. Zawróć ze swej drogi!

Zanim Stanton zdążył go o coś więcej zapytać, człowieka tego już nie było.

Szczegółowe śledztwo przeprowadzone na statku nie dało żadnych rezultatów.

W Aleksandrji okrążyli podróżnych rozmaici handlarze, żebracy, naciągacze. Znaleźli się wśród ruchu, hałasu, tempa portowego, które nieco ich oszołomiło. Dr Stanton zwrócił się do swego pomocnika Clive Halforda.

— Odbierz nasz bagaż i zawieź go do hotelu Excelsior. Ja udam się do miasta, aby załatwić pewne sprawy i formalności. Rozmieść wszystkich po pokojach. Good bye!

Przygotowania zajęły Stantonowi pięć dni i pewnego rana opuścili Aleksandrję, udając się w kierunku oazy Tarafra, omijając oazę Khargę.

Na miejscu począł Stanton czynić ostatnie przygotowania. Wynajął przewodnika oraz dwudziestu tubylców do dźwigania rzeczy, zrobił zapasy żywności i innych niezbędnych artykułów. Ponieważ dopisywała pogoda doktór wyruszył niezwlekając na południowy-zachód w pustynię.

Na trzeci dzień uciążliwej wędrówki zatrzymał się on w małej dolince na nocleg. Tubylcy i członkowie ekspedycji po rozpaleniu ognisk i pożywieniu się, poukładali się do snu.

Jedynie doktór jeszcze nie spał, gdyż zajęty był jakiemiś obliczeniami i studjowaniem topografji. Siedział przy stoliku z fajką w zębach, pochylony nad papierami i myślał.

Wtem usłyszał szelest czy skrzypienie. Odwrócił się szybko, sięgnął ręką po rewolwer i zawołał dość głośno:

— Kto tam!?

W odpowiedzi na zawołanie odchyliły się poły namiotu i stanął w kręgu światła szczupły i dość wysoki Egipcjanin. Twarz jego wyrażała spokój i godność; powłóczysta szata i fez na głowie nadawały mu wyraz tajemniczości i zagadkowości.

— Kim jesteś? — zapytał doktór.

— Nazywam się Sybarellus — odpowiedział wolno przybysz. — Przychodzę do ciebie znowu. Nie usłuchałeś mojej rady, wysłuchaj teraz mego żądania:

— Masz zaniechać badań i poszukiwań dla których tu przybyłeś.

Dra Stantona zadziwiła stanowczość przybysza i jego bezczelne żądanie.

— Chciałbym wiedzieć, jakim prawem śmiesz mi rozkazywać? Mam pozwolenie rządu na poszukiwania i rozkaz muzeum brytyjskiego; żadnej innej władzy nie podlegam.

Przybysz ze spokojem wysłuchał wzburzonych słów uczonego, poczem lekko schyliwszy głowę zaczął znowu spokojnym tonem.

— Wybacz, sir, ale przychodzę tu nie jako twój wróg, lecz jako przyjaciel. Cenię naukę i cenię ludzi, którzy się jej poświęcają, ale i to musisz wiedzieć, że dotychczas nikt bezkarnie nie naruszył spokoju i miłości faraonów. Musisz pamiętać, że wszyscy ci członkowie licznych ekspedycyj zginęli już, chociaż mogliby żyć jeszcze długie lata. Chcę przeto ostrzec ciebie przed smutnym końcem.

Doktor zamyślił się.

— Spokoju i miłości — powtórzył cicho, a po chwili ożywił się i zwrócił się ku przybyszowi.

— Zadziwiasz mnie swoją mową. Nie rozumiem ciebie wcale; jak mogę naruszać spokój skamieniałych mumij, a co dziwniejsze, miłości?

— Wybacz, sir, to są rzeczy trudne do zrozumienia, a jednak ten grobowiec, który chcesz odkryć jest właśnie grobowcem spokoju i miłości.

* * *

Prace wykopaliskowe były już w pełnym toku. Olbrzymie ilości ziemi wydobyto już i lada dzień, lada godzina miało się ukazać wejście do podziemi. Dr Stanton siedział w namiocie pochylony jak zwykle nad książkami i papierami, gdy w tem wbiegł zasapany Halford i urywanym głosem powiedział:

— Znaleźliśmy wejście... — i upadł dysząc na krzesełko.

Doktór zerwał się na równe nogi, chwycił leżący na stole aparat fotograficzny i wybiegł z namiotu.

W otoczeniu tubylców szedł w dół po osypującej się co chwila ziemi w kierunku odnalezionego wejścia. Z zapartym tchem, z płomieniem w oczach stanął przed niewielkiemi drzwiami. Wiekowy uścisk miedzianych drzwi z ziemią pozostawił na nich swe ślady. Trzy wielkie pieczęcie broniły dostępu. Po zrobieniu kilku fotografij i jak najstaranniejszem zerwaniu pieczęci, przystąpiono do otwierania drzwi. Ponieważ zapadał już mrok, iście egipski, praca przy sztucznem świetle była niemożliwa i postanowiono ją odłożyć do świtu.

Rozpalono ogniska, zjedzono posiłek i cały obóz udał się na spoczynek.

Gdy już cisza zapanowała wokół, zjawił się znowu w namiocie Sybarellus.

— Cóż znowu? — zapytał badacz.

— Nie myśl, sir — zaczął Egipcjanin, że odkrycie swoje zawdzięczasz staraniom, informacjom i pracy swoich ludzi. Skoro sprawy już tak stoją, powiem ci o jednem: będziesz musiał zrobić z siebie ofiarę nauki. Zginiesz sam dlatego, że wdarłeś się w tajemnicę grobu.

— Śmierci nie unikniesz — dodał Egipcjanin — jestem dość potężny by cię zniszczyć.

Stanton walczył dość długo ze sobą, wreszcie odezwał się:

— Zgoda! Będę więc jeszcze jedną ofiarą nauki. Dzieło moje jednak ogłoszę światu, a później wszystko mi jedno.

— Pójdziemy teraz we dwóch. Pokażę ci to, czego szukasz a czegobyś sam nigdy nie znalazł.

Doktór wstał, wziął latarkę i wyszedł za przybyłym z namiotu. Wkrótce stanęli przed drzwiami grobowca. Sybarellus zatrzymał się, wyciągnął ręce i szepnął parę niezrozumiałych zaklęć. Drzwi z trzaskiem poruszyły się. Stanton w napięciu śledził ruchy przewodnika i obserwował drzwi. Sybarellus otworzył je z łatwością. Parę grudek piasku osypało się na ziemię. Egipcjanin wszedł pierwszy, oświetlając pochodnią długi korytarz. Doktor stąpał za nim w skupieniu, nie mogąc opanować wzruszenia. Sybarellus szedł bardzo wolno, trzymając podniesioną do góry pochodnię. Jakiś dziwny zapach napełniał ich nozdrza. Egipcjanin zbliżył się wkońcu do ściany, która z pozoru nie różniła się od innych.

— Gotów? — zapytał.

Doktór skinął głową.

Za dotknięciem ręki ściana drgnęła. Okrągłe drzwi zaczęły się rozsuwać ze zgrzytem w obie strony. Weszli.

Rząd marmurowych kolumn po lewej i po prawej stronie wielkiej sali robił niesamowite wrażenie. W błyszczącej posadzce odbijał się blask pochodni, jak w wodzie. W środku sali podłoga opuszczała się niżej i tworzyła rodzaj basenu. Była to sadzawka.

Przechodząc obok niej usłyszał doktór lekki plusk wody. Owładnęło nim teraz niewypowiedziane uczucie. Zdawało mu się, że jest nieskończenie samotny, że jest sam tutaj w jakiejś odludnej krainie, a przecie tam poza grobowcem, odpoczywali w namiotach jego towarzysze i nawet tu przy drzwiach, spało ich czterech. Wreszcie przyszło mu na myśl, że ten człowiek, który idzie przed nim, jest mu strasznie obcy a właściwie nie wie nawet kto to jest. W jednej chwili uczuł nagle ogromny wstręt do niego. Sybarellus, jakby znając jego myśli zatrzymał się i spojrzał na niego. Doktór w jednej chwili oprzytomniał. Znaleźli się w końcu sali poza filarami. Mała, półokrągła wnęka miała w sobie trzy wejścia, wszystkie otwarte. Po chwili weszli do środkowego. W końcu jednak chodnika doktór był pewien, że nie uległ żadnemu złudzeniu. Już tylko parę kroków dzieliło ich od owej sali. Stanton, idąc za Sybarellusem, nieco wyższym od niego, musiał co chwila stąpać na palcach i podnosić głowę, by przez ramię jego móc widzieć co się dzieje na przedzie. Już tylko parę kroków dzieliło ich od jasnej sali. Po chwili weszli. W komnacie paliła się alabastrowa lampa.

Na czworobocznym, oszlifowanym bloku leżała kobieta. Ubrana w jedwabną szatę, startą zębem czasu, przepasana złotym paskiem, na stopach miała sandały. Włosy miała długie, spadające na ramiona, czarne. — W piersi tkwił sztylet z głownią wysadzaną drogimi kamieniami. Doktór stanął zdumiony. Spojrzał na Sybarellusa pytającym wzrokiem. Ten przystanął na chwilę, skłonił się w stronę grobowca, poczem zwrócił się do doktora.

— Oto jest grobowiec faraona — oto grobowiec miłości i śmierci. Za ujrzenie go, musisz sir zapłacić życiem. Zgodziłeś się na to.

— Właśnie o niego mi chodziło — przemówił drżącym głosem. — Właśnie o ten sarkofag.

Po chwili zapytał:

— Powiedz mi, co oznacza ten kaganiec i w jaki sposób tysiące lat nie gaśnie?

Syberellus wyciągnął dłoń w kierunku doktora i ujął jego rękę. Ścisnął ją mocno. Doktór przymknął oczy, odchylił głowę w tył, zdawał się być w ekstazie. Po chwili ocknął się i uśmiechnął.

— Wiem, wiem... — krzyknął w uniesieniu. — Odgadłem... Kaganiec nieśmiertelnej miłości. Kaganiec szczęścia na dowód potęgi miłości płonął tu wieki całe.

Sybarellus stał ze spuszczoną głową.

— Ofiara największej miłości uczyniła cud: dała im szczęście.

Doktór półprzytomnym wzrokiem spojrzał na kaganiec, z którego unosił się dym zgasłego przed chwilą knota. Przejrzał.

* * *

W gabinecie lorda Salisbury siedział prof. Stanley Woodham. Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie lord, wskazując na kartkę papieru, leżącą na stole, zapytał:

— Czy to były jego ostatnie słowa?

— Tak lordzie — odpowiedział Woodham — znaleziono tę kartkę w jego namiocie nad ranem.

Lord wziął ją znowu i przeczytał, poczem uśmiechnął się.

— Człowiek znalazł szczęście...

MELODRAMAT O PUSZKINIE



Jest nim „Maskarada", czteroaktowa sztuka Jarosława Iwaszkiewicza, autora jednego z najpiękniejszych utworów polskiej literatury dramatycznej — „Lato w Nohant". Iwaszkiewicza, żywiącego głęboki kult dla wielkich genjuszów, zainteresowały jako postacie dramatyczne Chopin i Puszkin. „Lato w Nohant" jest arcydziełem, bo Iwaszkiewiczowi udało się zasugerować w nim wielkość Chopina, nasycić utwór duchem genjusza, jego twórczością — muzyką. „Maskarada", utwór dramatyczny o Puszkinie, stoi pod względem artystycznym i ideowym niżej od „Lata w Nohant". Przekonany o tem był sam autor, gdy pod nowem swem dziełem kładł podpis „melodramat", najwłaściwiej tem określeniem charakteryzując rodzaj sztuki.

Jest to udramatyzowana kronika ostatnich dramatycznych chwil życia Puszkina, jego konfliktu duchowego, oraz starć z carem Mikołajem, pragnącym zdobyć żonę poety. Iwaszkiewicz nie dał w „Maskaradzie" wizji wielkości Puszkina, ale pokazał nieszczęśliwego człowieka uwikłanego w melodramat życiowy, który zakończy się dla poety śmiertelnym pojedynkiem z przypadkową ofiarą jego wzburzenia skierowanego pod innym adresem, bo pod adresem cara. Jako utwór sceniczny sztuka Iwaszkiewicza „zmajstrowana" jest ręką wprawną, posiada sceny bardzo efektowne i dobrze nakreślone role, zwłaszcza kobiece. Aktorom pozwala na stworzenie interesujących kreacyj, publiczności zaś daje wzruszającą historję.

„Maskaradę" wprowadził pierwszy na scenę Teatr Polski w Warszawie, dając zaraz po niej doskonałą sztukę Morstina „Obrona Ksantypy". W tej samej kolejności gra wspomniane dwa nowe dzieła polskiej twórczości dramatycznej i Teatr Wielki we Lwowie, zaprosiwszy na reżysera E. Wiercińskiego, który inscenizował już w Warszawie obie sztuki. Lwowski teatr przygotował „Maskaradę" z dużą starannością, powierzając oprawę dekoracyjną wybitnemu dekoratorowi M. Różańskiemu. Główną rolę Puszkina odtwarza bardzo interesująco dyrektor Szpakiewicz. Carem jest Hierowski. Świetnemi partnerkami dyr. Szpakiewicza są Krystyna Ankwicz Szyjkowska (żona Puszkina, Nathalie) i Teresa Suchecka (Aleksandrine), grająca już obecnie wybornie rolę tytułową w „Obronie Ksantypy".



Scena z III aktu „Maskarady" J. Iwaszkiewicza. — Od lewej: J. Machalski (Żukowskij), T. Suchecka (Alexandrine), J. Staszewski (płk. Dauzas).



Roman Hierowski w roli cara Mikołaja I.



Mieczysław Szpakiewicz w roli Puszkina.



Scena z aktu I „Maskarady" J. Iwaszkiewicza. K. Ankwicz-Szyjkowska (Nathalie), M. Szpakiewicz (Puszkin), J. Staszewski (pułk. Dauzas). Dekoracja M. Różańskiego.

W najbliższym czasie Teatr Wielki wystawia „Nasze miasto" Wildera w reżyserii Leona Schillera, który przygotuje także „Korsarza" Acharda. Na gościnne występy zjedzie wkrótce Stanisława Wysocka, która opracuje sztukę angielską „Miła rodzinka".

(b)

Łamigłówki mody męskiej

O tak zwanej marynarce wizytowej

★



★

Ubranie marynarkowe, które ma nam służyć w okolicznościach bardziej oficjalnych, uwzględnia dziś prócz czarnego i inne kolory.



Ubranie „wizytowe" od rana do wieczora

★	Marynarka	Kamizelka	Spodnie	Koszula	Krawat	Kapelusz
1*	czarna, jednorzędowa, klapy z wycięciem ku dołowi	dwurzędowa	popielate, w paski	srebrno-popielata, kołnierz biały wykładany	długi, pepita czarna	melon
2*	czarna, jednorzędowa, klapy z wycięciem ku górze	jednorzędowa	popielate, w paski, z jasnemi getrami	biała, kołnierz wykładany	długi, kombinowane paski czarno-popielate	popielaty a la Eden
3*	jednorzędowa, ciemny-brąz w paski	dwurzędowa, pikowa, koloru jasnej kawy	te same co marynarka, z jasnemi getrami	łososiowa, kołnierz biały wykładany	długi, jednotonowy czarny, lub brąz z żółtym	czarny, lub ciemno-brązowy a la Eden
4*	granatowa, dwurzędowa	jednorzędowa, popielata	te same co marynarka, z jasnemi getrami	niebieska, kołnierz biały wykładany	długi, weinrot lub granatowy z kontrastującym wzorem	granatowy a la Eden
5	granatowa, jednorzędowa	dwurzędowa	te same co marynarka	biała, kołnierz wykładany	motylek granatowy	granatowy bez lamówki
6	czarna, dwurzędowa	czarna jednorzędowa	te same co marynarka	biała z zakładkami, kołnierz z rożkami	motylek z czarnej mory	czarny bez lamówki

*z wyjątkiem wieczoru

Do niedawna za strój, używany w okolicznościach bardziej oficjalnych, uchodziło ubranie marynarkowe w kolorze czarnym, przyczem zwykle spodnie nosiło się z materjału w popielate paski (t. zw. *wizytowe*). Wszelkie odstępstwo od tej reguły uważane było za „zbrodnię" przeciw zasadom nietylko *savoir vivre'u*, ale i paragrafom kodeksu ubraniowego. Dziś moda, która dąży do ożywienia stroju męskiego przez wprowadzenie różnorodności barw, odrzuciła obowiązek respektowania wyłącznie koloru czarnego i dopuściła marynarki kolorowe, z tem jednak, by były utrzymane w ciemnych odcieniach i by wzór — tylko paski — zbytnio nie kontrastował z tłem. To samo odnosi się i do bielizny, przyczem kołnierz z reguły musi być biały. Do niego zaś przepisuje dzisiejsza moda przy ciemnych marynarkach jasne krawaty pepita, w różnych pastelowych odcieniach.

Brummell.

Życie artystyczne

Z OPERETKI POZNAŃSKIEJ



Teatr Wielki w Poznaniu wystawił ostatnio znaną operetkę Heubergera p. t. „Bal w operze". Akcja libretta rozgrywa się w pierwszych latach naszego stulecia, a więc w okresie, w którym stroje kobiece nie wiele różniły się od tych, jakie dziś widzimy w ostatnich żurnalach. Z tego choćby powodu strona kostjumowa przedstawienia stanowi dla pań pewnego rodzaju sensację. Operetkę wyreżyserował dyr. Latoszewski, który po raz pierwszy pokusił się o laury inscenizatora w dziale operetek. Wywiązał się też z zadania bez zarzutu. — Na zdjęciu jedna ze scen „Balu w operze" w wykonaniu (od lewej): pp. Gretal, Kurowiakówny i Trojanowskiej.

Fot. J. Puciński, Poznań.

WYSTĘPY FR. ŁUKASIEWICZA



Franciszek Łukasiewicz należy bezsprzecznie do grona najwybitniejszych polskich wirtuozów. Artysta w każdym calu, muzyk o głębokiej wiedzy i dużej kulturze; Łukasiewicz od pierwszego swego występu na estradzie koncertowej dał dowód, że swą sztukę pianistyczną pojmuje niezwykle szlachetnie, akcentując umiar w posługiwaniu się środkami technicznemi, które pozostały dla niego nie celem, lecz jednym z współczynników dążenia do celów artystycznych. Po dłuższej przerwie, spowodowanej intensywną pracą na stanowisku kierownika muzycznego rozgłośni poznańskiej, Łukasiewicz wystąpił znów na recitalach w Krakowie, Poznaniu i innych miastach, odnosząc wszędzie duże sukcesy.

„GWIAZDY" NA KASPROWYM



„Wiosna na Kasprowym" — to popularne hasło, które jeszcze przez wiele dni ściągać będzie do Zakopanego liczne rzesze narciarzy, żądnych zaznania rozkoszy jazdy na „deskach" w gorących promieniach kwietniowego słońca. — Na zdjęciu w kole: Znana artystka scen warszawskich Janina Brochwiczówna w towarzystwie wybitnych sportsmenów Andrzeja Marusarza i M. Joszta na Kasprowym Wierchu.

„SKOWRONEK" LEHARA W TEATRZE „8.15"





Teatr „8.15" w Warszawie gra z wielkiem powodzeniem melodyjną operetkę Lehara „Skowronek" z udziałem pp. Lucyny Szczepańskiej (na prawo) w tytułowej roli i Ninki Czerskiej (na lewo) w roli subretki. Na doskonałą całość spektaklu składa się zarówno gra zespołu aktorskiego jak i wzorowa reżyserja i oprawa dekoracyjna.

WITKOWSKI WYJECHAŁ DO USA



Polski „król jazzu" Franciszek Witkowski wyjechał na czele swego doskonałego zespołu do Nowego Jorku, gdzie koncertować będzie na wystawie w pawilonie polskim.

WSZYSTKO Z TRYKOTU



Wszystko z trykotu! Hasło to nie nowe, lecz w tym roku specjalnie aktualne. Jakże dawne i zamierzchłe wydają nam się czasy, gdy w trykoty ubierały się wyłącznie nasze babcie (reumatyzmy!) albo też nasze najmłodsze pociechy. Dziś trykot triumfuje w każdej porze roku i dla każdego wieku.

Oczywiście przeszedł on długą ewolucję, zanim dojrzał do tego przodującego miejsca, jakie dziś zajmuje w garderobie eleganckiej i praktycznej kobiety.

Miejsce prymitywnych haczkowatych słupków czy ściegów tuneskich, a na drutach tzw. „patentu", zajęły misterne i skomplikowane ściegi, tworzące spoistą, gęstą a cienką tkaninę, z której można robić nawet angielskie kostjumy i płaszcze, które doskonale się noszą i wcale się nie rozciągają. Jest to tylko kwestja odpowiedniego doboru ściegu, włóczki i — cienkich drutów.

Przez dłuższy czas właściwą domeną trykotu były stroje sportowe: tzw. „garsonki", pullowery i kamizelki, szale, czapki i rękawiczki. Od paru zaledwie lat zyskały ręcznie na drutach robione trykoty prawo wstępu do salonu, ba — nawet do sali balowej. Obecnie można te wyroby nosić dosłownie przez cały dzień i we wszelkich okolicznościach.

Na suknie przedpołudniowe i sportowe z trykotu znamy szereg modeli, bądź to całych sukien, bądź dwuczęściowych komplecików, złożonych ze spódnicy i jumpra, lub spódnicy i żakietu. Modne są dziś bardzo komplety złożone z trzech części, a mianowicie: spódnicy i bolerka w tonie ciemniejszym i pullowerka w jaśniejszym, odpowiednio dobranym.

Jako miejski strój spacerowy, nosi się suknie z odpowiednio dobraną narzutką, względnie płaszczykiem długości tej samej co suknia. Zależnie od ściegu, cienkości włóczki i jej koloru, a przedewszystkiem od kroju i wykończenia, takie trykotowe „ensembles" mogą mieć charakter bardziej

Na lewo: Sportowy sweterek w ukośną kratę.



GODZINA 10

GODZINA 17





GODZINA 12



GODZINA 12



GODZINA 22

sportowy, lub też bardziej fantazyjny, francuski.

Na wiosnę paryska firma Kostie de War, lansowała śliczne grube płaszcze demi-saison, w jasnych kolorach, robione plastycznym, węzełkowanym a bardzo gęstym ściegiem. Wygląda to ślicznie i bynajmniej pod względem trwałości i praktyczności nie ustępuje płaszczom krajanym z normalnie tkanej materji. Takie trykotowe płaszcze i kostjumy nadają się w szczególności do podróży i do auta, gdyż nie mną się i są bardzo lekkie, a stosunkowo ciepłe.

Śliczna puszysta wełna angorska służy do wyrobu leciutkich jak piórko peleryn i okryć na chłodniejsze letnie wieczory, na statek, nad morze, w górach czy na letnisku. Robi się je najczęściej z angory białej, bananowo-żółtej i popielatej niebarwionej, w naturalnym odcieniu sierści tzw. królików niebieskich.

Popołudniowe suknie z ręcznego trykotu wymagają ozdobniejszych i na bardzo cienkich drutach robionych ściegów, a przedewszystkiem odpowiednich krojów, prostych ale wystudjowanych w linji, urozmaiconych jakiemś zdrapowaniem, przymarszczeniem. Wykańcza się takie suknie paskiem ozdobnym z kolorowego zamszu, złotej skórki czy jedwabnego sznura lub szarfy z aksamitu, ożywia ładnym clipsem lub, jeśli sięgają pod samą szyję, ozdobnym naszyjnikiem. Modele takich popołudniowych sukien najładniej wypadają w kolorze czarnym, granatowym, złoto-brązowym lub — na lato białym. Robi się je nie tylko z wełny, ale i z jedwabnych wąziutkich wstążeczek, z tzw. lacetu lub kordonku.

Wieczorem suknia z trykotu, to stosunkowo niedawny wynalazek. Paryż pokazał nam w tej dziedzinie istne cuda, niezmiernie kunsztownej roboty i w odpowiednio wysokich cenach. Furorę robiła tualeta z trykotu ze złotej nitki, przypominająca koszulki druciane średniowiecznych rycerzy, b. średniowieczna również w kroju, obcisłym, na biodrach przepasanym ciężkim pasem, nabijanym kolorowemi imitacjami drogich kamieni. Równie piękna była wieczorowa suknia, zrobiona z matowo-białego jedwabiu „albène", przybrana złotym paskiem i klamrami na ramionach. Widuje się też suknie balowe z trykotu w kolorach pastelowych, ozdobione złotym sznurem czy haftem, a nawet kwiatami.

Panie, które mają dużo wolnego czasu, a jeszcze więcej cierpliwości, no i zręczności, mogą sobie własnoręcznie robić takie cuda. Trzeba się tylko postarać o wzór ładnego ściegu i o dokładnie skrojoną formę, aby robić robotę ściśle według niej. Porządne zestawienie zrobionych już poszczególnych części i wykończenie całości wymagają też ręki dobrej krawcowej.

Lady Like.

G. 10: Suknia trykotowa kombinowana z jasnej bluzki i ciemnej spódniczki w najmodniejsze fałdy.

✦

G. 12: I. Spódniczka z ręcznego trykotu w drobną kostkę i jaśniejszy pullowerek. II. Okrycie z trykotu w jaśniejsze paski.

✦

G. 17: Popołudniowa »petite robe« z jersey'u w pastelowym kolorze.

✦

G. 22: Wieczorowa suknia robiona na drutach z czarnego jedwabiu.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA SZPINAKOWA. 15 dkg obranego młodego szpinaku płucze się pod bieżącą wodą, osącza na sicie i rzuca na wrzącą osoloną wodę. Po pięciu minutach gotowania, wyjmuje się szpinak z wody i przeciera przez sito, poczem rozprowadza się go wodą, w której się gotował. Wody należało nastawić około litr, aby jej nie odlewać, a tem samem nie tracić cennych soli, zawartych w wodzie po wygotowaniu szpinaku. Zupę podprawia się lekką zasmażką z łyżki masła i tyleż mąki. Do wazy wlewa się szklankę śmietany, rozciera w niej żółtko, dodaje łyżeczkę soku cytrynowego i wlewa gotującą zupę, mieszając, aby się śmietana nie ścięła. Sypki ryż lub grzanki jako dodatek do zupy.

ZUPA Z PŁATKÓW OWSIANYCH (z kuchni djetetycznej). Łyżkę masła rozpuszcza się w ryneczce, dodaje drobno krajane różne jarzyny, jakie bywają używane do rosołu, troszkę soli i 3 łyżki stołowe płatków owsianych Wszystko zalewa się wodą lub rosołem z kości cielęcych i gotuje przykryte całą godzinę, poczem przeciera się przez gęste sito podgrzewa i podaje obłożnie chorym. Dla ozdrowieńców zupę podprawia się bladą zasmażką lub żółtkiem, albo jednem i drugiem, a dla zaostrzenia smaku dodać można ekstraktu grzybowego itp.

SELER DUSZONY NA JARZYNĘ. Seler, używany u nas tylko jako dodatek do zup, lub najwyżej w małej ilości do sałatek jarzynowych, lubiany jest bardzo we Francji i innych krajach południowych, gdzie podawany bywa w różny sposób. Oto jeden z tych sposobów, może znajdzie amatora: 10 dkg cebuli kraje się w plastry i smaży w łyżce masła (oryginalny przepis podaje jako tłuszcz oliwę). Do usmażonej na złoty kolor cebuli dodaje się 25 dkg selera, dokładnie oczyszczonego i pokrajanego w cienkie plastry. Wszystko podlewa się troszką wody lub rosołu, dodaje w miarę soli i 2 kostki cukru, nakrywa szczelnie i dusi na wolnym ogniu. Wkońcu podprawia się jarzynę zasmażką lub poprósza tylko mąką, zagotowuje i wydaje do sztuki mięsa lub pieczeni baraniej. Przed dodaniem zasmażki, można też jarzynę przetrzeć przez sito lub zemleć i podać jako purée.

COMBER CIELĘCY musi być odpowiednio przez rzeźnika wycięty z grzbietu cielęcia. Jest to smaczne i eleganckie danie o ile mięso będzie dobrze przyrządzone, upieczone a nie wysuszone. Szybko wymyte mięso obsusza się ściereczką, naciera solą, szpikuje gęsto młodą słoninką, kropi cytryną i odkłada na 2—3 godzin. Na brytwance rozpala się 15 dkg masła, osmaża mięso z wszystkich stron, następnie wstawia do gorącego piecyka i piecze przy pilnem podlewaniu masłem około dwóch godzin, tj. tylko tak długo, aż kostka od mięsa łatwo odstaje. Upieczony comber kraje się z obu stron kości grzbietowej w skośne plastry, układając je na kości, aby tworzyły całość. Brzegi półmiska garniruje się lepszemi jarzynkami puszkowemi i pieczarkami, sałatą oraz plasterkami cytryny. Osobno podaje się sałatę i kompoty. Sos z pod pieczeni podsypuje się troszką mąki, zasmaża, zalewa śmietanką, zagotowuje i podaje osobno w sosjerce. W miejsce śmietanki użyć też można madery lub kwaśnej śmietany.

TORT CZEKOLADOWY: Utrzeć 10 żółtek z pół funtem cukru i pół funtem czekolady, dodać pianę z 10 białek i pół funta obieranych, mielonych migdałów. Z tego upiec dwa placki, na tortownicach wysmarowanych masłem i wysypanych tartą bułeczką. Na drugi dzień przełożyć następującą masą: Ubić na parze 6 żółtek i pół funta cukru. Osobno rozpuścić i zagotować 4 tabliczki czekolady i 2 łyżki wody. Gdy czekolada ostygnie, wymieszać ją z żółtkami i dawać po trochu do masła, które w ilości 3/4 funta ucieramy wałkiem w misce. Ulukrować polewą czekoladową.

TORT DAKTYLOWY: Utrzeć lukier z 5 białek i 3/4 funta cukru i soku z pół cytryny. Do tego domieszać funt krajanych daktyli i funt obieranych i mielonych migdałów. Masę tę upiec w tortownicy wyłożonej na spodzie i po bokach opłatkiem w niezbyt gorącym piecu. Po ostygnięciu, najlepiej na drugi dzień, smaruje się tort marmoladą daktylową i lukruje lukrem pomadkowym. Na marmoladę bierze się pół funta daktyli, które przesmaża się na lekkim syropie i przeciera przez sito, dodając do smaku soku cytrynowego.

TORT CYGAŃSKI: Utrzeć 15 dkg masła, dodając przy ucieraniu po jednemu 7 żółtek i 15 dkg cukru, 15 dkg migdałów, mielonych w łupce, 10 dkg tartej czekolady oraz pianę z 7 białek i 10 dkg tartej, przesianej bułki. Z tego po upieczeniu i przestygnięciu otrzymujemy po przekrojeniu dwa placki, które smaruje się marmoladą i daje pomiędzy nimi trzeci, biały placek, upieczony wcześniej, według takiego przepisu: zagniata się 14 dkg masła, 17 dkg mąki, 7 dkg cukru, 1 żółtko, skórka i sok z pół cytryny. Tort lukruje się polewą czekoladową.

Uwaga: W Nrze 14 „Asa" zaszły dwie małe omyłki, które mniej doświadczonym paniom domu będą niezrozumiałe. Mianowicie w przepisie na „pulpety" z mięsa do rosołu w wierszu 5-tym powinno być nie „bułki" lecz **„kulki"**. W przepisie na „tort duży murzynek" nieświadomy djablik podał żółtka na wagę, dopisując po ósemce „dkg", ma zaś być po prostu **„8 żółtek"**.

Sc. Ko.



PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Obecnie, gdy każdy chętnie „odmłodzi" swoją garderobę, dostosowując ją do letniej pory, w niejednym napewno domu skrzętna gospodyni wydobędzie z szafy biały filcowy kapelusz, który przeleżał się dłuższy czas. Aby się nadawał do noszenia, należy go oczyścić pastą, sporządzoną z zimnej wody i magnezji. Pastę nakładamy miejsce w miejsce na kapelusz i pozostawiamy do wyschnięcia. Po paru godzinach kapelusz czyści się szczotką i wtedy wygląda jak nowy.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

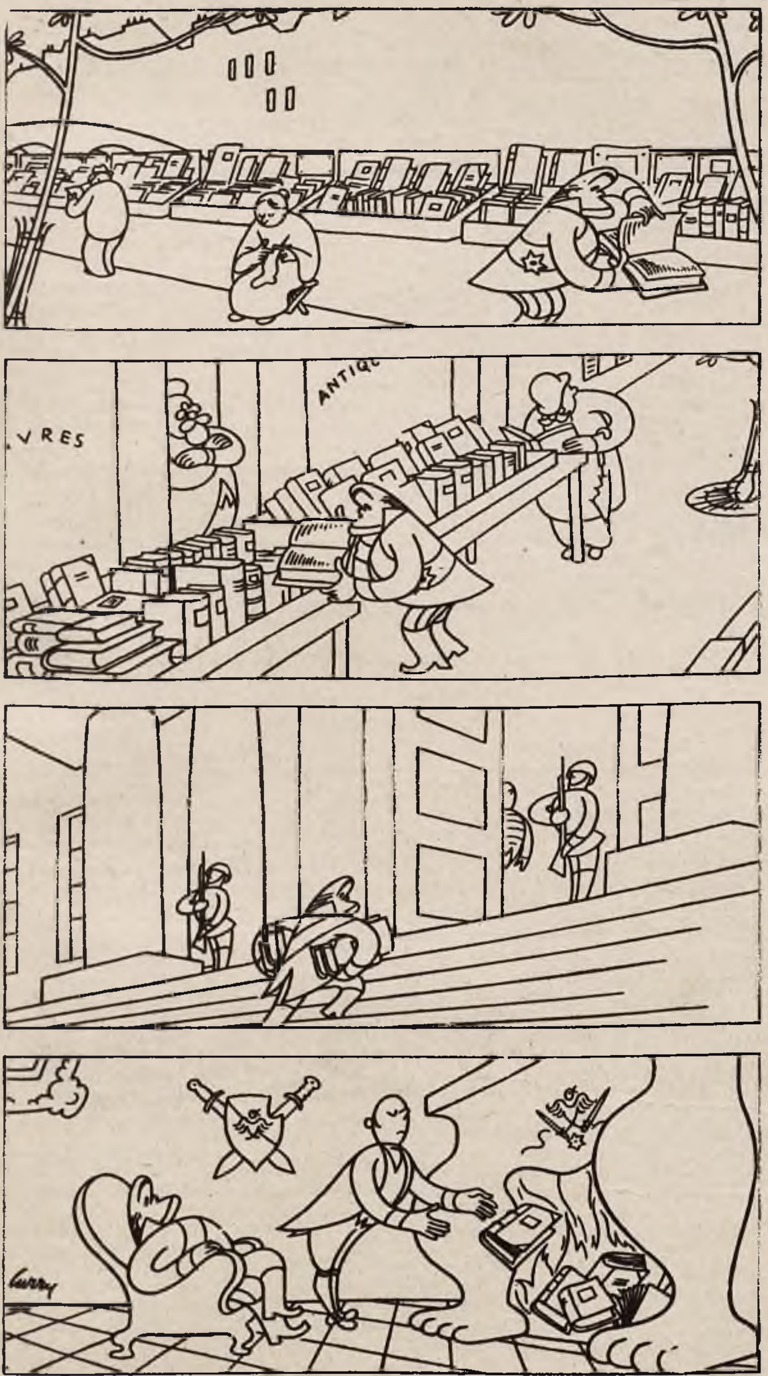
Święta rzym.-kat.	Tydzień 17 — **Kwiecień** — Dni 30
Niedziela **23** Wojciecha b.	Zupa szpinakowa z ryżem. Ozorki cielęce w pomidorach. Comber cielęcy z sałatą zieloną. Tort czekoladowy. Kolacja: Zimne mięso z sałatką jarzynową.
Poniedziałek **24** Jerzego	Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem selerowym. Kaczka pieczona z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Biszkopt z sokiem. Kolacja: Rizotto.
Wtorek **25** Marka Ewang.	Zupa cytrynowa z grzankami. Omlety z szpinakiem. Bitki cielęce w śmietanie z ryżem. Sernik. Kolacja: Ruskie pierożki.
Środa **26** Kleta, Bazyl.	Zupa jarzynowa purée z grzankami. Naleśniki z mięsem. Kotlety wieprzowe z sałatą zieloną. Budyń z grysiku z szodonem owocowym. Kolacja: Kruszka cielęce w sosie cytrynowym.
Czwartek **27** Zyty, Peregr.	Barszcz na rosole z fasolką. Kotleciki z ziemniaków i kiełbasy. Zrazy siekane z kaszą tatarczaną. Galaretka pomarańczowa. Kolacja: Hachee z mięsa rosołowego.
Piątek **28** Witalisa, Pawła	Zupa grzybowa czysta z płatkami. Knedelki z sera i grysiku z masłem i bułeczką. Karp pieczony z tartemi ziemniaczkami. Strudel orzechowy. Kolacja: Śledź marynowany.
Sobota **29** Piotra męcz.	Rosół z kaszką. Płatki z szynką. Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem. Naleśniki z kremem. Kolacja: Parówki z musztardą.

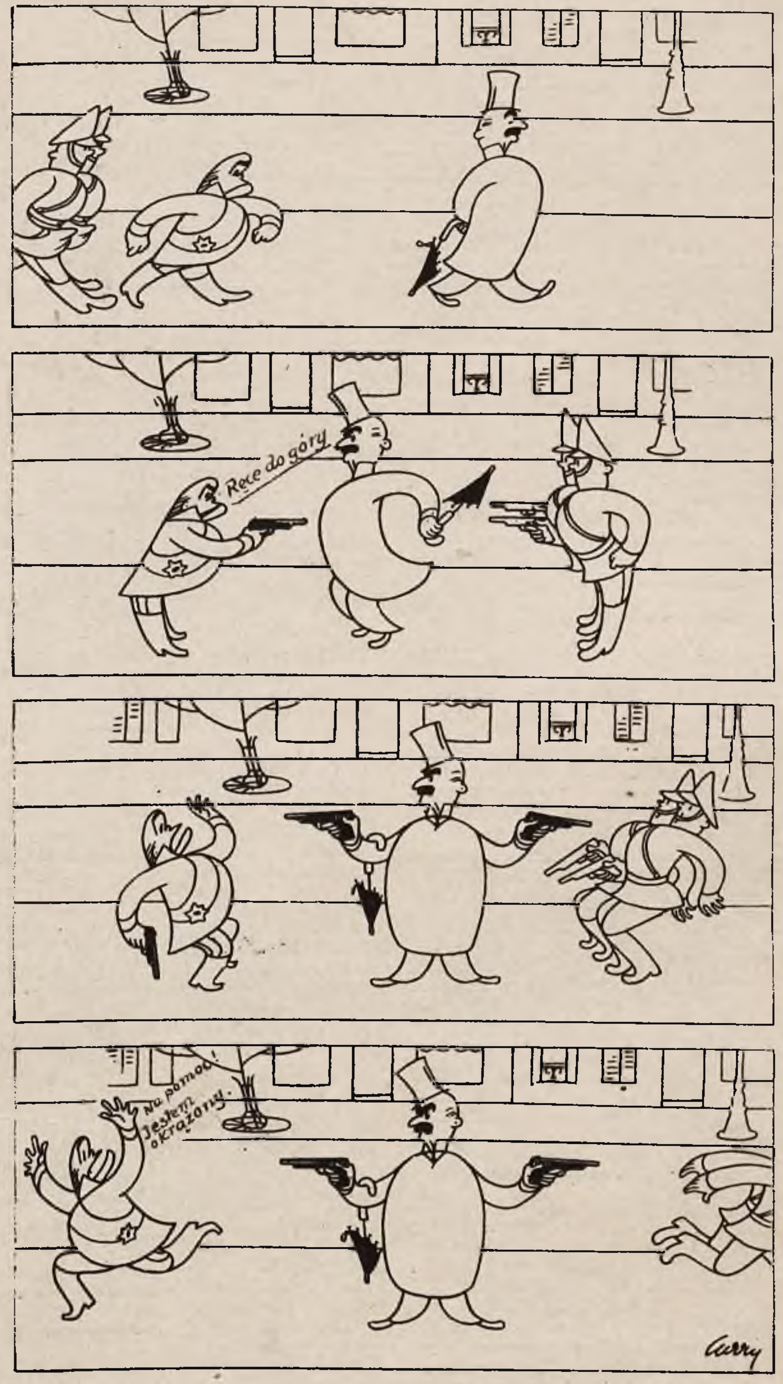




HOCKI-KLOCKI

POLITYKA W KARYKATURZE.





Mały dyktator jest zapalonym bibljofilem i co z tego wynika. ***Historja pana z parasolem, którego napadnięto na ulicy.***

(Z cyklu „Mały dyktator" — „Rire")

Rozwiązanie z Nru 16-go.

POKREWIEŃSTWO.

Jestem twoją żoną.

NAJMNIEJSZA CYFRA.

Najmniejszą cyfrą spełniającą warunki zadania jest 59.

ROZMAITE DROGI.

Do mieszkania Burnsa i zpowrotem do mieszkania Adamsa prowadziło wzdłuż bloków I, II i III 64 rozmaitych dróg, czyli że tą samą trasą musiał Adams chodzić co 65 dni.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SAMOCHODY I MOTOCYKLE.

W warsztatach samochodowych wyremontowano w ciągu ubiegłego miesiąca 40 maszyn — samochodów i motocykli. Z warsztatów wyszło 100 kół. Ile było w remoncie samochodów, a ile motocykli?

SKRZYNKA TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

WP. TADEUSZ KŁOS, DROHOBYCZ: Boston „Dla ciebie" zachowujemy w tece do zamieszczenia.

WP. TADEUSZ SZAFRAŃSKI, TARNÓW: „Bajeczkę" zamieścimy może w odpowiednim czasie, po dokonaniu koniecznych korektur muzycznych.

WP. AL. DŻURESCU: Ani „Serenada wiosenna" ani „Ty czekaj na mnie" nie nadają się do zamieszczenia. Radzimy przestudjować zasady prozodji.

WP. MICHAŁ PIRKA: Czy nie zaszła przypadkiem omyłka co do wpisanego tekstu? Słowa najkompletniej nie zgadzają się z kompozycją muzyczną.

WP. WACŁAW PIETRZYK: Nie zamieścimy.

WP. MGR CZESŁAW HALSKI, LWÓW: Oczekujemy na tekst piosenki „Ja tyle chcę".

BRIDGE.

Czterech przyjaciół grało w bridge'a: admirał Morski, hrabia Bidowski, płk. Szabelkowski i sędzia Wagowski. Rozegrano pięć robrów, zapisując punktów 1.100, 800, 900, 400 i 1.700.

Po skończonej grze okazało się, że admirał i sędzia wygrali tę samą ilość punktów. Sędzia jednak wygrał więcej robrów niż admirał. Pułkownik był również wygrany, ale zato hr. Bidowski przegrał jedenaście razy więcej niż pułkownik wygrał.

Jakie były wyniki każdego z pięciu robrów?

KAWAŁEK LODU.

Jaka część (w granicach 1/10) kawałka lodu pływającego po wodzie, znajduje się pod powierzchnią wody?

Oto książki dla dzieci!

Niestety!... Trzeba zacząć od tego słówka: niestety, rzadko dajemy dzieciom do rąk książki, a jeszcze rzadziej książki dobre i wartościowe, mimo, że nasza literatura dla dzieci i młodzieży poszczycić się może, zwłaszcza w dwóch ostatnich latach, pozycjami doskonałemi, niejednokrotnie wręcz wzorowemi. O książce dla dzieci i młodzieży myślą rodzice i wychowawcy najczęściej jedynie w okresie gwiazdkowym. Jakby to była jedyna sposobność do obdarowania książką. A tymczasem są przecież inne jeszcze sposobności do wręczenia podarunku czy nagrody. A zresztą książka powinna być — artykułem częstej potrzeby.

Pragnąc o tem przypominać, co jakiś czas na tych łamach zwracać będziemy uwagę na niektóre z wybitniejszych pozycyj książkowych dla dzieci i młodzieży, zaznaczając zgóry, że obecna literatura tego gatunku jest najczęściej i doskonałą lekturą dla dorosłych, którzy w kapitalnych książkach autorów tej miary, co



Okładka F. Themerson do książki J. Tuwima „O Panu Tralalińskim".

Tuwim, Szelburg—Zarembina, Zofja Kossak, Zygmunt Nowakowski, Jan Brzechwa, Mieczysław Lisiewicz (żeby tylko kilka przykładowo nazwisk wymienić), znajdą w książkach dla młodzieży tych autorów — wartości szczególnie emocjonujące i wysoce artystyczne.

Z pośród ostatnich wydawnictw dla dzieci do lat 10—12 wymienimy dziś kilka książek wydanych nakładem **J. Przeworskiego** w Warszawie, którą to instytucję zaliczyć można do jednej z czołowych, jeśli idzie o publikacje wzorowe dla dzieci. Wystarczy przypomnieć, że w ub. sezonie wydawniczym nakładem Przeworskiego ukazała się niedościgła dotąd książka dla najmłodszych, słynna **„Lokomotywa"** Juljana Tuwima, zawierająca jeszcze dwie bajki poetyckie „Rzepka" i „Ptasie radjo". Tekst tej książki — oczywiście znakomity! skomponowany został wraz z ilustracjami w jedną logiczną i wysoce artystyczną całość graficzną, która na naszym terenie jest rewelacją, a i wielkiej miary ewenementem w dziedzinie europejskiej literatury dla dzieci. Ilustracje i układ graficzny: Levitt i Hima.





Ilustracje J. M. Szancera do powieści (od lewej): J. Broniewskiej „Ciapek — włóczęga" oraz W. Wasilewskiej „Pokój na poddaszu".

W bieżącym sezonie ukazały się trzy nowe zbiory wierszy Tuwima dla dzieci, noszące tytuły **„Pan Tralaliński", „Zosia Samosia" i „Słoń Trąbalski".** Pierwszą z nich znakomicie ilustrowała Fr. Themerson, drugą ozdobił wybornie E. Manteuffel, a trzecią oryginalnie J. Janowska.

Książki te są tekstowo i graficznie wyrażone językiem dzieci, wspaniale więc przemawiają do ich psychiki, rozwijając zarówno umysł, uczucie, jak i kształcąc zmysł artystyczny. Wiersze Tuwima, z których niektóre są arcydziełami liryki, odznaczają się głębokiem uczuciem, szczerze wzruszającym humorem, przekonywującą a dyskretną dydaktyką oraz mistrzowską formą, kapitalnemi pomysłami językowemi, będącemi zawsze w duchu kompozycyj językowych dzieci.



Kompozycja str. 15 książki J. Tuwima „O Panu Tralalińskim". Układ graficzny i rysunki Franciszki Themerson.

Wśród innych wydawnictw tej samej księgarni nakładowej, wymienić należy bajeczkę **„O królowej Śnieżce"**, opowiedzianą interesująco i pięknie przez Irenę Tuwim, według filmu Disney'a. Książka ta ilustrowana jest oryginalnemi rysunkami Disneya, co do których w pewnych wypadkach możnaby mieć zastrzeżenia.

Z literatury tłumaczonej przedewszystkiem sięgnąć należy po dwie z sobą treściowo związane powieści A. Milne'a p. t. **„Kubuś Puchatek"** i **„Chatka Puchatka"** doskonale przyswojone psychice polskiego dziecka przez Irenę Tuwim. Książki te nauczą dzieci kochać przyrodę i zwiążą je silnie z otaczającym światem rzeczywistym i nierzeczywistym. Polska wersja doskonałych książek angielskich ozdobiona została świetnemi ilustracjami E. Sheparda, zaczerpniętemi z pierwowzorów.

Dużemi wartościami artystycznemi oraz wybitnemi walorami moralnemi zaleca się powieść Adrienne Thomas: „Andrea". Głównym tematem powieści o doskonałej intrydze jest problem samokształcenia i samowychowania dzieci w organizacji harcerskiej i w klubach młodzieżowych.

Z publikacyj polskich autorek na uwagę zasługują książeczki popularnej i lubianej autorki Lucyny Krzemienieckiej oraz dla starszych dzieci trzy powieści: Janiny Broniewskiej **„Ciapek włóczęga"**, Jadwigi Korczakowskiej **„Dzieci podwórza"**, oraz Wandy Wasilewskiej **„Pokój na poddaszu"**. Pierwsza i trzecia z wymienionych ozdobione są kapitalnemi ilustracjami J. M. Szancera drugą ilustrowała E. Różańska.

Nakładem tej samej instytucji wydawniczej ukazały się nowe wydania znakomitych książek Anny Lewickiej p. t. **„Z naszych pól i lasów"** oraz **„Wśród naszych łąk i borów"** (z il. W. Chmielewskiego). Oba dzieła doskonałemi opowiadaniami z życia zwierząt najlepiej zaznajamiają młodzież od lat sześciu wzwyż, z przyrodą polską. Niektóre z opowiadań są prawdziwemi klejnotami literatury nowelistycznej, słusznie też jeden z krytyków zestawia je z najwybitniejszymi osiągnięciami Dygasińskiego, wielkiego poety polskiej przyrody.

(swb).



Okładka E. Shepard'a do opowieści A. A. Milne'a „Kubuś Puchatek" w przekładzie I. Tuwim.

NA POLSKIEJ ANTENIE:

W nadchodzącym tygodniu **(23—29 bm.)** jedną z najciekawszych audycyj będą „Sonety instrumentalne". Pod tym tytułem przed kilku laty ukazał się zbiór wierszy Witolda Hulewicza, zawierający około 50 sonetów, stanowiących charakterystyki instrumentów muzycznych. Wiersze te, czerpiące swą obrazowość z ducha muzyki, pełne patosu, to znów liryzmu czy groteski, posłużyły znanemu kompozytorowi poznańskiemu T. Z. Kassernowi za motyw barwnej suity, w której elementy poezji i muzyki łączą się w jednolitą i oryginalną kompozycję. Będzie ona wykonana, jako audycja muzyczno-poetycka, we **środę** dn. 26 kwietnia o godz. 17.15.

Nowy cykl radjowy opowieści literacko-muzycznych o wielkich muzykach, tym razem poświęconych Moniuszce, opracował prof. U. J. dr Zdzisław Jachimecki, którego druga audycja z tego cyklu nadaną będzie we **czwartek** 27 bm. o godz. 18.35.

Postać Zygmunta Krasińskiego, którego twórczość mimo wielkiej swej obecnie aktualności darzona jest niezasłużonem zapomnieniem, przedstawia niezwykle interesujący temat dla powieściopisarza biografisty. Dramaty wewnętrzne Krasińskiego miały również efektowne dramatyczne tła. Krasiński — człowiek, Krasiński — genjusz, przeżycia namiętne jednego i drugiego, — oto główny wątek powieści Aliny Świderskiej o autorze „Nieboskiej komedji". Fragmenty tej powieści nadaje Polskie Radjo we **środę** dnia 26 bm. o godz. 21.45.

Reportaże z baletów, opracowywane przez wybitnego znawcę prof. Stanisława Głowackiego, cieszą się dużem zainteresowaniem radjosłuchaczy. We **wtorek** dnia 25 bm. o godz. 22.15 usłyszymy reportaż p. t. „W Hadesie i Elisium", poświęcony motywom mitu antycznego o Orfeuszu, wyobrażanym w ciągu wieków w rozmaitych formach baletowych.

W ramach audycyj dla dzieci i młodzieży w **piątek** dnia 28 bm. o godz. 15-tej nadane zostanie słuchowisko znakomitej autorki Zofji Kossak p. t. „Marzenie o skrzydłach". Słuchowisko to mówić będzie o genjalnej postaci artysty malarza Leonarda da Vinci, który pierwszy myślał o unoszeniu się w powietrze i rozwijał w tym kierunku działalność naukową.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczenia egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne "IKC", Kraków, Wielopole 1, pod zarz. Fr. Czajki. Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.